Nr. 38. Warszawa, dnia 23 (11) Września 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Zwracamy uwagę na nadchodzący termin kwartalnej przedpłaty.

POLITYKA.

MAŁY STAN OBLĘŻENIA.

Młodo-czesi nie spodziewali się, ażeby hr. Taaffe tak nagle i tak mocno ściągnął im cugle konstytucyjne — i wyznać trzeba, że mieli po temu słuszne racye. Bo czegóż oni nie wyrabiali i nie wygadywali, a rząd nie pociągał ich za to do żadnej odpowiedzialności i nie myślał wcale ograniczać ich swobody. W parlamencie i w prasie mówili wyraźnie o potrzebie rozbicia Austryi, o wyzwoleniu swego kraju z obecnej zależności, o swem wrogiem stanowisku względem niemców na wypadek wojny — a za to wszystko usuwano ich tylko od uroczystości dworskich i karcono domyślnikami w urzędowych przemówieniach. Zdawało się, że hr. Taaffe poprzestanie na uważaniu ich za warchołów, za *enfants terribles*, za ludzi źle wychowanych, których brutalstwo razi, ale nie zasługuje na pomstę. Czyż wobec tego Gregrowie i ich poplecznicy mogli przypuszczać, że nad nimi nie wisi miecz Damoklesa? Czy nawet mogło im przyśnić się, że on spadnie na ich głowy za to, co od lat czterech bezpiecznie uprawiali—a już chyba najmniej, że ich dosięgnie wtedy, kiedy zamierzali uczcić rocznicę wydania dla ich kraju patentu konstytucyjnego przez cesarza Franciszka Józefa.

A przecież tak się stało. Z datą 12 b. m. ogłoszone zostały dwa rozporządzenia gabinetu przedlitawskiego, zaprowadzające w Pradze czeskiej, oraz w powiatach sąsiednich, t. zw. „mały stan oblężenia." Jedno z tych rozporządzeń zawiesza na przeciąg roku w okręgu prazkim działalność sądów przysięgłych w sprawach, dotyczących zdrady stanu, wykroczeń w prasie, naruszenia spokojności publicznej, rokoszu, morderstwa, ciężkiego uszkodzenia ciała, lekceważenia nakazów władzy, podżegania i użycia zagrażających bezpieczeństwu ogólnemu środków wybuchowych.

Rozporządzenie drugie ma oparcie prawne w I art. ustawy z d. 5 maja 1869 r., który tak brzmi: „...w razie zaburzeń wewnętrznych, oraz jeżeli w większej mierze powtarzają się wichrzenia, mieszczące w sobie istotę zdrady stanu, a także zagrażające konstytucyi państwa i bezpieczeństwu publicznemu, mogą czasowo i w ograniczonych zakresach — na mocy artykułu 20 ustawy konstytucyjnej z d. 21 grudnia 1867 r. — być zawieszone zupełnie lub częściowo artykuły 4, 9, 10, 12 i 13." Owe artykuły — zwłaszcza 12 i 13— zapewniają obywatelom państwa austryackiego prawo swobodnego zgromadzania się i zawiązywania stowarzyszeń, wyrażania swej opinii słowem, drukiem lub plastycznem uzmysłowieniem oraz wydawania pism bez cenzury.

Tych przywilejów mieszkańcy Pragi i powiatów jej przyległych zostali teraz pozbawieni. „Mały stan oblężenia" pociąga wszakże za sobą jeszcze inne pęta dla wolności obywatelskiej, które dotkliwie uczuć się dają i które uniemożliwiają młodo-czechom dalszą propagandę. Jakże oni myślą zachować się w nowem położeniu, czy poddać mu się kornie i czekać przyjaźniejszej chwili, czy też podjąć rzuconą rękawicę? Nie znamy ich zamiarów, ale do pewnego stopnia dadzą się one wywnioskować z faktów i usposobień. Jedno z pism ruskich zauważyło: jeżeli hr. Taaffe, obiegłszy koło w swej polityce względem czechów, wrócił do punktu wyjścia, to jeszcze nie racya, ażeby to samo zrobił cały naród. Rzeczywiście daleko to łatwiej uczynić dla jednostki, dla męża stanu, niż dla całego, kilkomilionowego społeczeństwa, które w Czechach ogromną większością idzie za młodo-czechami. Albo hr. Taaffe przewidywał rozwój i skutki ich działalności — i w takim razie jest złym psychologiem, tamując dopiero teraz ruch wypadków w punkcie najgwałtowniejszego ich prądu, albo nie przewidywał — a w takim razie jest złym politykiem. Jeżeli chciał państwo zabezpieczyć od dążeń rozkładowych, nie powinien był pozwolić na ich rozwój. Naród — to przecież nie gromada żaków, hałasujących w szkole podczas nieobecności nauczyciela, który ich natychmiast uspokoi, skoro tylko wejdzie i krzyknie. Czesi zbyt przyzwyczaili się — a przyzwyczaili się z niemą zgodą rządu— do idei podniesienia swego stanowiska w monarchii Habsburgów, ażeby dziś zająć mogli to upośledzone, na jakiem dawniej pozostawali. Kiedy domagali się już własnej korony i uznania dla swych praw historycznych, hr. Taaffe kazał im zamilknąć. Zbyt późno.

Nadto polityka musi się rachować z naturą materyału ludzkiego, którym ma rządzić i zawładnąć. Przywódcy młodo-czechów przekonali wielokrotnie, że nie są potulnymi barankami i raczej rzucą się w ryzykowną awanturę, niż wejdą na drogę praktycznego rozsądku. Niezawodnie zatem rozpoczną walkę z rządem, z której może nie wyjdą zwycięzcami, ale narażą przeciwnika na poważne niebezpieczeństwo. Austrya bowiem, jako sztuczny zlepek najrozmaitszych i powaśnionych z sobą ludów, istnieć może tylko bodaj zewnętrzną ich zgodą, a ginąć musi we wszelkim zatargu wewnętrznym. Ona nie znajduje się w tem położeniu względem Czech, co np. Prusy względem Alzacyi lub Poznańskiego, bo jak się w niej zacznie pruć gdziekolwiek, to nie wiadomo, czy się wszystko nie rozpruje. A przecież hr. Taaffe, skoro już rozpoczął walkę, broni

nie złoży. Więc cóż? Fortuna nie ma nigdy kłopotu z odpowiedzią na wszelkie pytania. Poczekajmy, co ona postanowi.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Cesarz niemiecki jest niewątpliwie główną sprężyną rozmaitych podróży i zjazdów, jakie odbywają monarchowie i książęta europejscy. Sam ruchliwy i lubiący ciągle przerzucać się z miejsca na miejsce, pobudza innych. Obecnie urządził on spotkanie w Güns (na Węgrzech) z cesarzem austryackim, królem saskim, regentem bawarskim i księciem Connaught, nie licząc mnóstwa książąt i arcyksiążąt austryackich. Rozumie się, była to tylko manifestacya (dziś wyraz ten ma bardzo niewinne znaczenie) pokojowa, w której chodziło głównie o pokazanie światu przyjacielskich stosunków i związków między uczestnikami zjazdu; zresztą był to uroczysty dodatek do manewrów wojsk austro-węgierskich.

Obecną ciszę polityczną przerywają tylko szepty o sprawach ważnych i drobnych. Najważniejszą dziś są prace przygotowawcze do traktatu handlowego między Rosyą a Niemcami. Z obu stron specyalni delegaci wyrabiają grunt do układów, które mają się rozpocząć w jesieni. Tymczasem trwają podjazdowe utarczki prasy, w których przyjmuje także udział *Prawit. Wiestnik*, prostujący systematycznie nieprzyjazne wiadomości gazet niemieckich. Tak np. doniosły one, że ruskie ministeryum finansów otrzymało mnóstwo próśb, żądających możliwie najszybszego zawarcia traktatu z Niemcami ze względu na ekonomiczne interesy państwa, dalej, że skutkiem zatamowania wywozu zboża za granicę wyczerpał się zapas złota w skarbie ruskim itd.; otóż *Prawit. Wiestnik* przeczy tym doniesieniom, oświadczając, że ministeryum nie otrzymało ani jednej takiej prośby, a zapas złota jest bardzo znaczny (przeszło 300 mil. rs.).

Składki zbierane przez prasę paryską na przyjęcie eskadry ruskiej w Tulonie i na podarki dla marynarzów zaczęły już płynąć i dosięgły 30,000 fr. Przedstawiciele dziennikarstwa ruskiego przesłali syndykatowi francuskiemu czułe podziękowanie za objawy sympatyi i podjętą myśl wspaniałego ugoszczenia przyjaciół.

Francuzi nie mogą dotychczas pocieszyć się po stracie gen. Miribela, którego uważano za przyszłego kierownika w wojnie odwetowej. Wydobywane wszakże na wierzch szczegóły, dotyczące nieboszczyka, nie przedstawiają go wcale w tem świetle, jakie na niego rzuciła prasa francuska. Miał to być wielki talent organizacyjny, ale nieprzyjaciel awanturniczej wojny, żołnierz sumienny, lecz nie porywany ambicyą sławy. Na pożytecznego pracownika posiadał wiele warunków, na bohatera — żadnego. Był to kawał Moltkego, a nie Napoleona.

Młody król serbski, czy z własnego natchnienia i rozumu, czy też słuchając rad praktycznych, robi kroki szczęśliwe. Niedawno złożył on wieniec na grobie Karageorgiewicza, założyciela dynastyi, której potomkowie są pretendentami do tronu serbskiego. Obecny ich przedstawiciel, Piotr Karageorgiewicz, chociaż nie zrzeka się swych praw, przesłał mu za to telegraficzne podziękowanie. Objawy te uważane są za wstęp do pojednania obu rodzin.

Nareszcie chaos brazylijski zaczyna zbliżać się ku końcowi. Powstańcy pod dowództwem gen. Custodio de Mello nietylko zbombardowali Rio de Janerio, bronione przez gen. Peixoto, ale przeciągnęli na swą stronę znaczną część wojsk rządowych. Zdaje się, że rokoszanie zawładną całym krajem i — przywrócą monarchię.

Francyi grozi takie samo przesilenie, jakie przebyła Anglia w bezrobociu górników węglowych. W Anglii wiele fabryk stanęło, wiele zawisło nad przepaścią, a ceny węgla trzymają się dotąd na niebywałej wysokości. To samo powtórzy się we Francyi, jeśli zmowa przybierze większe rozmiary.

BADANIA NAUKOWE.

GEOGRAFIA HISTORYCZNA
I JEJ NOWOCZESNY KIERUNEK *).

Potrzeba nakreślenia nietylko obecnego, podległego bezpośredniej obserwacyi, stanu danego kraju, lecz także stanu dawnego, ze źródeł historycznych wyciągniętego, mogła powstać naturalnie wtedy dopiero, gdy pewien naród o wysokiej kulturze mógł z zupełną samowiedzą historyczną spojrzeć daleko wstecz na drogę swego rozwoju, który wywarł silny wpływ przekształcający na stan jego ojczyzny.

Ukształtowanie powierzchni, klimat, siatka wodna, zarysy brzegów kraju nie ulegają znacznym zmianom nawet w ciągu wielu stuleci, ale szata roślinna, ludność, liczba i położenie siedlisk ludzkich i ich połączenia w wielkie całości polityczne ulegają szybko bardzo wielkim zmianom. Stąd łatwo zrozumieć, że geografia historyczna mniej się zwykle zajmuje stałą kanwą natury kraju, aniżeli zmieniającemi się niemi utkanego na niej obrazu kultury. W takim wyborze materyału, a także w środkach i metodzie geografia historyczna ukazuje się początkowo nie tylko już jako nauka pomocnicza, lecz wprost jako część historyi. Odpowiednio do tego idzie ona pierwiastkowo ręka w rękę z badaniami starożytniczemi, biorąc udział to w filologicznej pracy objaśnienia zabytków dawnego piśmiennictwa, to w archeologicznych poszukiwaniach pamiątek sztuki. Taki charakter noszą początki tej nauki, jaki napotykamy u greków (objaśnienia topograficznych opisów u Homera oraz badania archeologiczne pomników Hellady).

Gdy po długiem uśpieniu historycznego

*) Porówn. *Partsch*: *Ph. Clüver, der Begründer der historischen Länderkunde* w wydawnictwie Pencka: *Geographische Abhandlungen*.

---

17)

ARNE GARBORG.

SPOKÓJ
(Przekład z upoważnienia autora).

XXIII.

Promiennie piękny ranek niedzielny. Słońce igra po ścianie nad półką. Wesoła, biała, świetlista plama niby tańcząc posuwa się to w jedną, to w drugą stronę.

Na dworze lekki, powiewny podmuch letni; kołyszą się w nim świeże liście drzew, kołyszą się pozostałe jeszcze przy życiu gałęzie dotkniętej klątwą wierzby.

Jaskółka i szpak i inne drobne ptactwo świergoce, gwiżdże tak raźno, że zdawałoby się, jakoby radość z poranku maleńkie te piersi rozsadzić już miała.

Siedzą koło stołu, jedzą. Enoch od czasu do czasu połyka kęs jakiś; zapada w zadumę, patrzy przed siebie nieruchomie okiem jakby od snu ciężkiem.

Nie ma chęci do jadła, nie chce jeść. Po cóż chodzić i karmić jeszcze to cielsko? Gdyby tak mieć silną wolę... i na śmierć się zagłodzić!

Nie gardzić darami bożymi... pal dyabeł te dary! Tak myśleć było strasznie dobrze! Taka gorąca, piekielna myśl... pal dyabeł te dary! Ach, jak dobrze, dobrze mu było z tą myślą, dobrze — aż do głębi serca.

W sercu tem drga nadto coś jeszcze innego, co gorętsze jest i więcej piekielne; chciałby to pomyśleć, pala wprost tą chęcią i tak myśleć musi być rozkoszą. Głośno, głośno, wprost w oczy — temu — powiedzieć, wykrzyczeć... lecz nie śmie. Mógłby grom uderzyć... Widzi myśl tę tylko zdala, jakby obcą, oderwaną i tak bujającą w przestrzeni, niby łanię, myśl — łanię, myśl szatańską, która chodzi, skacze i chichocze, ku niebu się zrywa i wykrzywia się, wykrzywia brzydko, bezwstydnie, jak cygan, jak stril *).

Enoch powstał od stołu tak nagle, że aż się wszyscy zlękli. Podszedł do lustra, zaczął się w niem przeglądać, ściągnął usta w dziwny grymas. Tak, to dyabeł. Dyabeł. Nikt inny, tylko on wyziera mu z oczu i krzywi się w tych okropnych rysach twarzy... Szybko wybiega z pokoju. Słyszą kroki jego w spiżarni. Może znowu zdąża ku szkatule i stanie, zapatrzy się, mruczeć coś będzie nad pustą skrzynią od srebra.

Lecz Enoch powraca do lustra. Wykrzywia się sam do siebie, ściąga twarz, robi grymasy...

Opętany jest. Bies go opętał, jak szaleńców w Ewangelii.

— Gdyby przyszedł sam Pan Jezus, prosiłbym go, aby poszedł. Wszystko jedno. Gdyby w połowie prawdą było to, co jest napisano, ocaliłby mnie, skoro tak błagałem... Obiecują dużo, ale robią z człowieka.,. Patrzcie, patrzcie tylko, czy to nie dyabeł?

„A dym ich cierpień wznosić się będzie w przestrzeni na wieki. Na wieki, na wieki, na wie-e-ki!“ Jeżeliś wiedział, że tam pójdę, pocoś mnie stworzył! A kysz szatan, a kysz!

Kąpie się w fantazyach piekielnych, upaja, oszałamia się siarką i ogniem. Kłuje się coraz głębiej, przenosi się żywcem w płomienie; syczą, liżą nagą jego pierś, ramiona, szyję; dreszcz nim wstrząsa, budzi się myśl szalona — dobre to być musi! Dobre! Ha! — takie palące mrówki wzdłuż całych pleców; dobrze to boleć musi; palić i boleć!.. Gorzej potem już być nie może.

Dziś wieczorem może? Wieczorem, kiedy się ściemni. I będzie po wszystkiem!..

Anna wsunęła głowę, odchrząknęła, aby go nie przestraszyć.

— A nie zmówiłbyś ty pacierza, Enoch?

Odpowiedział dzikim, namiętnym wybuchem:

— Piekło — i bez modlitwy — dość mi już jest gorąco!

— Nie wstyd-że ci, Enoch? Tak przecież szalonym nie jesteś, abyś nie wiedział, co mówisz. Słyszeć tego więcej nie chcę, rozumiesz? Takie to wstrętne, że aż mi się źle robi... O dzieciach myśl... Czy i do kościoła pójść nie chcesz?

Spokojniej, nieśmielej odparł:

— Psa, gdy wejdzie do kościoła, wypędzą.

— Zdaje mi się, że nie powinienbyś

*) Stril — szydercze przezwisko, któremi oznaczają chłopów, trudniących się rybołówstwem na północ od Bergen.

interesu powstał w wieku odrodzenia nowy zapał do badań starożytności klasycznej; wówczas przedstawiły się znaczne trudności, albowiem w powodzi wędrówki ludów wiele pomników kultury uległo zniszczeniu, wiele zabytków literatury zaginęło, pozostałe okazały się niedostatecznemi. Geografia musiała się oprzeć o ile możności na samodzielnych obserwacyach własnych, a ta okoliczność zmieniła jej pierwiastkowy stosunek do starożytnictwa: podczas gdy to ostatnie dawniej stanowiło naukową podstawę dla pierwszej, obecnie otrzymało ono z jej ręki nowe obrazy krajów, na które trzeba było teraz nanieść obrazy dawnej kultury. Założycielem tego nowego kierunku geografii historycznej był Filip Clüver, który znał zarówno kraje jak i odnoszące się do nich źródła historyczne, który sam uważał się za geografa w służbie starożytnictwa; celem jego było uczynić historyę zrozumialszą przez oświetlenie jej geograficznej widowni „Geographia historiae lumen“ — było dewizą jego działalności naukowej.

Takie połączenie dwóch różnych przygotowań naukowych, jak u Clüvera rzadko tylko daje się napotykać u jego najbliższych następców. Większości podróżników brakło literacko-naukowego przygotowania oraz metody dla badań kwestyi historyczno-topograficznych, większości zaś uczonych gabinetowych brakło żywego odczucia i praktycznego objęcia terenu geograficznego ich badań. Pomiędzy uczonymi 17 stulecia tylko jeden Palmerius potrafił iść dalej na polu przez Clüvera wskazanem. Na początku XVIII stulecia Cellarius napisał geografię świata starożytnego, ale nie dorównał Clüverowi znajomością źródeł, a szczególniej znajomością krajów.

W XVIII stuleciu kierownictwo na polu geografii przypada francuzom: ich kartografowie wkroczyli z wielkim pożytkiem dla nauki na pole geografii historycznej. Uczynił to już Delisle, który długo przesadnie podawaną rozciągłość morza Śródziemnego zredukował do właściwych rozmiarów i przystąpił do poprawy zarysów krain z nim sąsiadujących. Jeszcze większy krytyczny takt, bystrość umysłu i dar kombinacyjny wykazał d'Anville; nie jego zarys geografii starożytnej (*Geographie ancienne abrégee 1768*), lecz znaczna ilość jego poszczególnych badań i ich owoców kartograficznych stanowi miarę jego zasług dla geografii starożytnej, które tem bardziej uderzają, gdy zważymy, że d'Anville nie znał języka greckiego i musiał brać materyał z drugiej ręki.

Znani autorowie podręczników geografii historycznej w naszem stuleciu: Mannert, Ukert i Forbiger nie wytrzymują najmniejszego porównania z genialnym d'Anvillem i dopiero współczesny nam Henryk Kiepert zajmuje w geografii historycznej takie stanowisko, jak niegdyś d'Anville. W jego działalności naukowej odbija się ten wielki postęp, jaki geografia historyczna uczyniła w naszem stuleciu. Długi czas mogło się zdawać, że pracownia jej ma okna otwarte tylko na pole historyi, stamtąd otrzymuje światło i ku tej stronie wysyła swe własne promienie. Dopiero w naszem stuleciu uświadomiła sobie w całej pełni swą przynależność do geografii. W badaniach jej można rozróżnić wyraźnie dwa kierunki.

Z jednej strony stara się ona w duchu Clüvera dać możliwie *dokładny obraz dawnych stosunków osadnictwa, oświecić historyi jej drogi*. W tym duchu pracują liczni badacze jak Bursian (*Geographie von Griechenland* 1862—1872), Ramsay (*Historical Geography of Asia Minor* 1860), Desjardins (*Geographie de la Gaule Romaine* 1876—1895), Tissot (*Geographie comparée de l'Afriqne Romaine* 1884—1888).

Od tych wielkich prac naszego stulecia, które pozostają wyłącznie *na służbie starożytnictwa* różnią się zasadniczo inne, które nie zadawalają się wynalezieniem położenia dawnej miejscowości, kierunku dawnej drogi, biegu dawnej granicy państwa lub narodu itd. wogóle nie zadawalają się wynalezieniem krytyczno-historycznej podstawy do kreślenia dawnych map, lecz stawiają sobie za zadanie: przedstawić obraz naturalny i kulturalny pewnego kraju dla pewnej ubiegłej epoki w tak ścisłym wewnętrznym związku, w tak żywem wzajemnem oddziaływaniu między krajem i człowiekiem, jak tego wymaga obecna geografia umiejętna.

Pobudką do takiego traktowania geografii historycznej była naukowa działalność Karola Rittera, która wywołała takie prace jak Curtiusa *Peloponnesos* 1851, Neumanna *Allgemeine physikalische Geographie von Griechenland* 1885, Nissena *Italische Landeskunde*. Jeżeli ostatnia praca zostanie ukończona, to otrzymamy w XIX stuleciu odpowiednik do Clüverowej *Italia Antiqua*, a wtedy będzie można na jednym kraju najlepiej poznać, jaką drogę rozwoju geografia historyczna przebyła od niesamodzielnych zaczątków w starożytności, przez ugruntowanie jej jako nauki pomocniczej dla historyi (Clüver) aż do jej dzisiejszego stanowiska, jako organicznej części geografii umiejętnej.

Ostatnie określenie wymaga wyjaśnienia; rodzi się mianowicie pytanie, w jakim stosunku geografia historyczna pozostaje do geografil? Dla jasnego objęcia zjawisk, odbywających się na powierzchni ziemi, umysł ludzki dzieli ich rozpatrywanie według kategoryi przestrzeni i czasu; rozpatruje je geograficznie lub historycznie. Tylko chwilowo jednak można stłumić w sobie świadomość, że podział ten nie polega na istocie rzeczy, lecz na woli badacza. Gdy tylko myśl przechodzi od skonstatowania faktu dalej, do jego zrozumienia, zaraz historykowi daje się uczuć współistnienie zjawisk *obok siebie*, geografowi zaś — ich następstwo *po sobie*. Jak każde ciało przyrody, tak i powierzchnia ziemi jest czemś zmiennem, rozwijającem się, stawającem. Jej stan obecny jest rezultatem długiego rozwoju. Nic też dziwnego, że w geografii występuje na piewszy plan badanie rozwoju w czasie. A jakkolwiek historya jest tylko częścią przeszłości, to jednak częścią najważniejszą dla zrozumienia teraźniejszości. Dla tego to geografia nie powinna w żadnej swej części wyrzekać się historycznego badania i historycznej metody. Kto geografii zaleca posługiwanie się tylko jedną metodą, i jeżeli ma ona być nauką jednolitą, ten zmusza ją do wyrzeczenia się swobodnego używania swych członków. Czyż np. klimatologia ma się wstrzymać od badania zmian klimatu dla tego, że tylko za pomocą metody historycznej, przez badanie podań dawnych pisarzów i pomników można tu otrzymać rezultaty? Znakomita praca E. Richtera (*Gletscherschwankungen*)

---

o wszystkiem tak wątpić. Jesteś przecież rozsądnym. Chodź, odmów pacierz, zapanuj trochę nad sobą. Chyba pojmujesz, że złe się z tobą skończyć może, gdy tak rozpaczy poddawać się będziesz!

— Tak, tak, masz racyę, masz racyę!..

Na płacz mu się zbierało.

Po chwili wrócił do pokoju i wyjął psałterz.

Siadł z nim przy stole i długo przewracał kartki. Nie znajdował tego, czego chciał, szukał. Obecni siedzieli, czekali. Tik-tik, tik-tik... szeptał zegar ścienny zwolna, cierpliwie. Powietrze było ciężkie, pełne brzęku much i sennego spokoju.

Wreszcie twardym, szorstkim głosem zaczął:

Z całego serca tęsknię
Za ..... śmiercią

„chrześciańską“ opuścił. Z coraz większą dzikością czytał dalej:

Za kresem wszystkich cierpień
Smutku i niedoli.
Świat zimnym jest i pustym!
Chcę . . . . .
Przyjdź... rychło przyjdź!

„wiecznej szczęśliwości“ i „Jezu“ opuścił. Strasznem było siedzieć i słuchać tego czytania.

Dalej sami już prawie śpiewać musieli.

Coraz bielszem stawało się słońce, coraz weselej tańczyła świetlana plama po pokoju, po ścianach i podłodze, biegając po sukni Anny, muskając wilgotny włos Enocha, zatrzymując się wreszcie na suficie wśród tysiąca łażących i snujących się muszek. Cień starej jarzębiny, kołyszącej się w podmuchu letnim, bujał po ścianie, opodal skrzyni zegara i po starem, brunatnem pokryciu łóżek; wszystko było słońcem i latem. A jednak zdawało się, jakoby siedzieli w kostnicy.

Coraz częściej zaniedbywał pacierze, a było to strasznem; rzekłbyś, że ostatnią tracił już nadzieję. Najgorszem jednak było, że mówił o tem, iż rękę na siebie podniesie.

Anna włóczyła się przez cały dzień z bólem w piersiach, czując się nieraz tak źle, że najchętniej ledz by już chciała. Gdyby nie Torkjell Tualand, nie wytrzymałaby cierpień. Ten jednak rozważał wszystko po swojemu, a i jej ulgi trochę sprawiał.

— Ech, nie zabijają się ci, którzy o tem prawią; nie lękaj się! A zobaczysz, że i ten strach przed Bogiem minie, potem zaś wszystko może być znowu dobrze.

Torkjell rządził teraz zagrodą; Enoch nie dbał o nic, gdy miewał złe swoje napady. A Torkjell zyskał nad nim władzę, która mu dobrze robiła.

Lato stawało się gorące, złe napady powtarzały się u Enocha często, a zdrowym nie czuł się prawie nigdy.

Odczuwał tak dziwnie — niejedno, co złem nie było — jako zło, którego objaśnić nie umiał, którego pojąć nikt nie był zdolny; męki duchowe tak silne, że ciałem szarpały; palenie, które go mroziło i chłód, który go palił; kłucie w głowie i darcie w skórze; ucisk i ból w żołądku; wielkie znużenie; nagłe zawroty; chwiejność w nogach — ale wszystko to razem było tylko jednym i tym samym lękiem, zimnym, czarnym, który przytłaczał mu piersi i wsysał w siebie wszystko jak noc, jak otchłań, przepaść głęboka, bez treści, bez dna i bez granic.

Gdy lęk ten ustępował, lżej mu się robiło ze wszystkiem; zdawało mu się natenczas, że nic mu już nie dolega. Wtedy umiał nawet kiedy niekiedy westchnąć do Boga. Lecz gdy tylko zaszła rzecz najdrobniejsza, zasłabło ciele, córeczka zbiła spodek, synek podarł trzewiczki, a czasem nawet i bez przyczyny — trwoga staczała się nań niby szary opar z morza i Enoch natychmiast panowanie nad sobą tracił; następna minuta mogła go rzucić w wir.

Miewał, napady, w czasie których oddech niemal tracił; był jakby uwięzionym, doznawał uczuć i przywidzeń takich, jak gdyby go żywcem do trumny włożono; albo też widział wielkie, łzawe, mgliste źrenice, pod których spojrzeniem drętwiał — a pierś ściskała mu się wtedy tak, że każde tchnienie stawało się ciężkim, głębokim jękiem serca. Niekiedy wszystko wokoło niego obcem mu było. Usuwało się, wcale go już nie zajmując; szedł po dalekiej, próżnej przestrzeni, sam z sobą i z czemś strasznem, czego nie widział; lecz po za tym zaklętym pierścieniem stał ów świat, patrząc w niego osłupiałym wzrokiem. Bał się Enoch, że wszystko wokoło niego zakrzyczy, zaskrzeczy, łzami ryknie i dzikiem szlochaniem przestrachu.

Wody, wody... zagasić cały ten pożar i mękę tę całą głęboką, głęboką wodą... Boże, zmiłuj się nade mną!

(D. c. n.)

dowodzi dotykalnie potrzeby historycznej krytyki dla zbadania związku między zmianami klimatu i zmianami lodowców. Podobnież wielkie dzieło Suessa (*Das Antlitz der Erde*) w rozdziale o zmianach linii brzegowej nic na tem nie traci, że autor dla rozjaśnienia chaosu wiadomości o prawdziwych lub mniemanych obserwacyach wykonywa pracę historyczno-krytyczną. Jeżeli to jasnem jest dla geografii fizycznej, to w wyższym jeszcze stopniu dla geografii człowieka. Widzimy więc, że z dwóch pojęć: *powierzchnia ziemi* i *teraźniejszość*, które określają pole pracy geograficznej pod względem przestrzeni i czasu, żadnego nie należy brać dosłownie. Jak Richthofen wykazał, że powierzchnia ziemi, jako pole badań geografa, nie jest idealną bezcielesną powierzchnią na dnie oceanu powietrznego, lecz raczej grubą warstwą, obejmującą części litosfery, hydrosfery i atmosfery, które warunkują zjawiska w zewnętrznej stronie naszej planety, tak i teraźniejszość nie jest dla geografa bezistotną, matematyczną granicą między przeszłością i przyszłością, lecz obejmuje z przeszłości przynajmniej tę część, która w skutkach swych żyje dalej w teraźniejszości. Jak przekrój poprzeczny w łodydze rośliny tylko dla tego obserwatora będzie zrozumiały, który potrafi uprzytomnić sobie cały przebieg i działalność naczyń trafionych przekrojem, tak i obecny stan danego kraju tylko temu będzie zrozumiały, który przebiegnie porównawczo rozwój tego kraju i jego działalność w stadyach poprzednich. Nie tylko dary natury właściwe danemu krajowi są zmienne, ale i ich wartość. Jeżeli zadaniem geografa jest przedstawienie przyrody kraju i jej znaczenia dla człowieka, to nie może on upuścić z uwagi, że w przebiegu kulturalnego rozwoju jedne własności przyrody tracą swą wartość, podczas gdy inne jej nabierają, nie może on pominąć dawniejszych stosunków kraju, do którego traktowania przystępuje; a jeżeli kwestyę tę znajduje już rozwiązaną przez geografię historyczną, to jego własna praca staje się przez to ułatwioną. Tym sposobem geografia historyczna, taka jak ją obecnie pojmujemy, staje się niezbędną częścią składową całej umiejętności geograficznej.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

A France: *La Rôtisserie de la reine Pédauque*, 1893. — G. Renard: *La conversion d'Andre Savenay* i *Un Exilé*, 1893.

Nowa powieść France'a jest szeregiem obrazów w stylu holenderskich malarzów rodzajowych. Te drobne, czyste oberże, w których panuje radość życia, twarze pełne charakteru chłopów, otyli opaci o czerwonych oblicach, ciągnący siwuchę z omszonych butelek i szczypiący za uda pełne, rumiane dziewczęta — słowem, obrazy, w których psychologia gra rolę nieznaczną i w których koloryt jest wszystkiem. France długie godziny spędzał widocznie przed płótnami Teniersów, Breugelów i in., nasycił sobie duszę tą specyalną atmosferą i doskonale ją odtworzył w piekarni, gdzie umieszcza swego bohatera. Rażny ogień, przy którym pieką się tłuste półgąski, ćwierci saren, ociekające w przezroczystych kroplach i napełniające izbę zapachem wesela, gospodarz w białym fartuchu i szlafmycy, podupadły filozof i smakosz, który za udko lub skrzydełko indyka i szklankę wina daje młodej latorośli domu codziennie lekcye łaciny. Filozof ten, Hieronim Coignard, jest charakterystycznym opatem XVIII stulecia, w którym łączą się dyletantyzm artysty, głęboka erudycya uczonego, zwyczaje epikurejczyka i dobroć iście chrześciańska. Jest to nadzwyczaj sympatyczna postać, wygłaszająca drogą dla autora filozofię pobłażania. „Co do mnie — powiada — chętnie rozgrzeszam łotrów, oszustów i wszelkich nieszczęśliwców. A nawet nie mam urazy do ludzi dobra, jakkolwiek w nich jest wiele zarozumiałości.“ Ten epikurejczyk wprowadza do powieści ton filozofii XVIII w.; autor otoczył go bardzo wdzięcznie całem towarzystwem, należącem do tejże zupełnie atmosfery: jest tu i druga Manon Lescault, żydówka, córka rabina hiszpańskiego, a zarazem wielkiego oszusta, i młody, wesoły markiz, hulaka, libertyn, nareszcie piekarczyk, który oderwawszy się od łaciny, w pocie czoła zdobywa sobie kochankę — ale markiz mu ją zabiera z pod nosa. France znakomicie oddał i to otoczenie, z mistrzowstwem, jakiego nie powstydziłby się o. Prévost. Znajdujemy tu w końcu jeszcze jeden czynnik — świat kabalistyki i czarów, wyzyskiwany z wielkiem powodzeniem przez Huysmansa. Niestety, tego rodzaju materyał wymaga wielkiej ostrożności ze strony pisarza: musi on przystępować zupełnie seryo, a nawet z pewnem namaszczeniem lub z obojętnością psychologa. Najmniejszy jednak uśmiech sceptyczny — mianowicie tego rodzaju, jakich nie szczędzili ludzie XVIII w. — a cały ten świat zaczarowany niknie, jak duchy przy pianiu koguta. Znacie wspaniały mit o Psyche i Amorze? Otóż nietylko miłość, ale wszelki wogóle czar wymaga naiwności i niewinności — przed okiem ciekawem pierzcha. Niestety, France zachowuje się zupełnie sceptycznie, z uśmiechem wolteryanina. Nie chybił zresztą celu — bynajmniej, nie zrobił jednak wszystkiego, co zrobić było można.

Wszystkie te czynniki wydają się nader proste. Doprawdy, wymagają one wielkiej sztuki. Jest to ta sama sztuka, którą rozwija Aulus Gellius w „Nocach attyckich,“ a Apuleus w „Metamorfozach.“ France obiera ich sobie za mistrzów i kierowników. Magią, czarami zajmuje się hr. d'Astarne, sypiający z Salamandrami: są to kobiety powietrzne, dostępne tylko dla filozofów. O ile są piękne, możemy sądzić z tego, iż nie mają zębów: dziąsła ich upiększone są dwoma szeregami pereł srebrzystych, nadających ich uśmiechowi czar niepojęty. Perły te są światłem zgęszczonem. Zęby człowieka są oznaką jego zwierzęcości — sądzi autor. Najwspanialej przybrane stoły są tylko okropnemi jatkami, przy których mężczyźni i kobiety, chociażby najbardziej wystrojone, znajdują się wobec trupów zwierząt, połamanych kości i krwawego mięsa, które żarłocznie pochłaniają. Narody nie mogą się nazwać cywilizowanymi dopóty, dopóki w miastach swych mieć będą rzeźnie i jatki. Przypomina mi to, jak jedna pani, współczująca mocno losowi biednych zwierząt, wyraziła zdanie, iż „w przyszłem społeczeństwie ludzie nie będą jedli mięsa, lecz zastąpią je przez różne preparaty, jak np. esencya Liebiga.“ Ale bez żartów, podziwiać trzeba, jak ta delikatna i moralna istota, człowiek, przechodzi z majestatyczną obojętnością wobec tych obrzydliwych trupiarni, jatek, które na każdym kroku znaleźć można! Człowiek będzie — zdaniem France'a — karmił się z czasem chemią, która dostarczy mu przysmaków z powietrza i promieni słonecznych. Wówczas zęby ustąpią miejsca upiększeniu podobnemu do pereł Salamander. „I wówczas ludzie nie zdołają pojąć, jak kochanek mógł widzieć bez strachu i wstrętu psie zęby w ustach swej ukochanej.“ Po przez tę tkankę czarów, filozofii, subtelnych dumań i bajek, które starają się uchwycić tylko esencye: koloryt różnych epok i mieszać je w sposób fantastyczny, łatwo rozpoznać można wpływ Petroniusza i Apuleusza. Historya miewa dziwne nawroty. Któżby mógł sądzić, że pod koniec dziewiętnastego stulecia w ogniskach najbardziej wyrafinowanej cywilizacyi wytworzy się stan ducha, zupełnie analogiczny do tego, jaki w Rzymie panował za czasów Klaudyuszów i Antoniuszów! A jednak France mógłby śmiało grać rolę magistra elegancyi (magister elegantiae) u dworu jakiegoś Nerona. Toż samo wyrafinowanie smaku, taż sama niewiara, lubująca się wszakże przez dziwną sprzeczność w opowiadaniach o czarach, wiedźmach, gusłach, zaklęciach. Musimy wszakże przyznać, iż uczta Trymalchiona, zakończona przy gasnących pochodniach i opowiadaniu o strzygach gryzących trupy, pozostaje dotychczas ideałem, którego żaden z pisarzów francuskich jeszcze nie doścignął. Tego rodzaju dreszcze potrafił wzbudzać poniekąd tylko Poe. France przybliża się daleko bardziej do Apuleusza, w którym czuć odcień blagi bulwarowej, gdy z namaszczeniem opowiada o wiedźmach, które przez omyłkę obcinają uszy i nos nie trupa, lecz czuwającego przy nim stróża. Jest w tem wszystkiem wiele wdzięku, ale chorobliwego. Szczęściem przepływają po literaturze francuskiej powiewy świeższe.

Oto np. Renard uważa, iż sztuka, zamiast odosobnić się w olimpijskiej pogodzie, powinna i może przyjąć udział w walce, z której wyjdzie przyszłość; pisarz nie powinien być zbieraczem słówek, które mają się podobać, ale człowiekiem i obywatelem, a literatura może służyć ideałom społecznym. Jest to próba wskrzeszenia romansu tendencyjnego. Literatura jest objawem nawskroś społecznym i nikt ze swej skóry społecznej wyskoczyć nie może. Nawet indyferentyści są tylko przedstawicielami zasady „laissez-faire'u,“ która jest także zasadą społeczną. Niema więc, właściwie mówiąc, literatury bez tezy. Chodzi tylko o wprowadzenie nowej. Trzeba jednak, aby przekonanie zamieniło się na uczucie, aby ono w łańcuchu stanów świadomości zajęło miejsce panujące. Pod tym warunkiem każda tendencya ma racyę bytu w literaturze. Teza nie powinna być miarką z góry narzuconą, lecz wejść w krew, w chemię psychologiczną autora. Otóż warunek ten jest u Renarda zupełnie urzeczywistniony. Trzeba przyznać, iż autor jest człowiekiem głęboko przekonanym: niektóre stronice jego dzieł zawierają tchnienie istotnej wiary i zapału porywającego. Jest to swego rodzaju oaza, gdzie przyjemnie wytchnąć po tej rozpuście literackiej, do której nas współczesna Francya przyzwyczaiła. Znajdujemy u Renarda nietylko słowa zapału, ale gniewu i sarkania. Autor jest zwolennikiem reform powolnych, opartych na miłości i braterstwie, a natomiast wrogiem wszelkich zmian gwałtownych i przewrotów. Jest to swego rodzaju zorza odrodzenia, która przypomina pierwotne chrześciaństwo nietylko duchem apostolskim, ale także i bezpretensyonalnością artystyczną. Pisze językiem jasnym i przezroczystym, w malowaniu uczuć jest bardzo prostym, ale któżby w danym razie wymagał tego „mistrzowstwa,“ które na rynku literackim we Francyi tak spowszedniało i które pierwszy lepszy Rod lub Prévost tak doskonale posiada. Wszak z punktu widzenia techniki i psychologii „Zbójcy“ lub „Spisek Fieska“ są wprost dziecinne — ale te cechy to błahostki wobec zapału tych dzieł. One a nie co innego stanowić będą sławę Schillera.

W jednej ze swych powieści, „La Conversion d'André Savenay,“ Renard daje nam historyę młodej i szlachetnej duszy, doprowadzonej powoli, nieszczęściem, reak-

cyą naturalnej uczciwości, do wyjścia z eleganckiego indyferentyzmu i objęcia sprawy cierpiących braci. Jak rzekliśmy, jest on zwolennikiem powolnych reform— co dowodzi pewnego temperamentu i niczego więcej — ale dziwi nas, iż autor znajduje pewnego rodzaju zbliżenie do swych ideałów w Szwajcaryi. Tymczasem toż samo towarzystwo demokratyczne, jak on nam je w innej powieści maluje, jest wcale niepowabnem. Są tu wszystkie wady arystokracyi i burżuazyi tylko poprostu przez brak „savoir-vivre'u“ i drobne ramki, w których się obracają: plotkarstwo małomiasteczkowe, doprowadzone do najobrzydliwszych rozmiarów, hypokryzya kalwinistyczna, każąca rodzicom unieszczęśliwiać dzieci z powodu różnic religijnych, arystokratyczne fochy itp. Taką jest inteligencya szwajcarska — i autor dał nam wspaniały jej wizerunek. Ale i inne warstwy, chłopskie i drobnomieszczańskie, nie przedstawiają nic takiego, do czego warto byłoby dążyć. Wogóle to upatrywanie w Szwajcaryi ideału jest wielkim przesądem, tem bardziej, iż ona coraz bardziej traci swe cnoty pokątne i szybko wchodzi na tory ogólno-europejskiego kapitalizmu. To ona się zbliża do Francyi, a nie Francya do niej. Rozumie się, wielka burżuazya także jest wstrętną i autor dał nam cały szereg iście wstrząsających obrazów, wzbudzających ohydę i obrzydzenie — np. wizerunek wyborów z ich przekupstwem i przedajnością, przedsiębiorcami i naganiaczami bydła głosującego, bezczelność bogaczów i upokorzenie wobec urn lub upadek i zepsucie prasy, gdzie wolność słowa stała się przesądem, a pisarz jest tylko najemnym pachołkiem u worka na posługach, nareszcie młodzież francuską, która idyocieje w objęciach dekadencyi, bawi się w starość, mizdrzy się i tynkuje — jest to gra niebezpieczna, gdyż maska z czasem przystaje do twarzy i przyzwyczajenie staje się drugą naturą. Nikt może nie dał lepszej satyry[dekadentów, których pod przezroczystemi nazwiskami odgadnąć można od Meterlincka do Huysmansa. Słowem wszędzie, gdzie mamy wybuchy uczucia społecznego, zachwyty i nadzieje na przyszłość lub gniewy i sarkania z powodu teraźniejszości, nie znamy w literaturze obecnej nic równie silnego — tyle tu jest energii, przekonania, męzkości. Subtelne malowanie uczuć i wrażeń nie ma dla ludzi tego rodzaju znaczenia, jest to raczej zabawka, którą się opracowuje od ręki. Ale wielki artyzm Renarda występuje, gdy chodzi o obrazy wspaniałej, nieporównanej natury szwajcarskiej. Wogóle jest to jeden z najsympatyczniejszych pisarzów francuskich.

L. W.

Z NIEMIEC

Berlin, 16 września

Virchow. Die Gründung der berliner Universität u. der Uebergang aus dem philosoph. in das naturwissenchaftliche Zeitalter. — Stoerk. Der Staatsbürgerliche Unterricht.

Zwyczajem dorocznym i Virchow, który przez dwa ubiegłe półrocza akademickie piastował wysoki i ceniony urząd rektora uniwersytetu berlińskiego, pożegnał swych wyborców — dwustu blizko profesorów tutejszej wszechnicy — i uczącą się młodzież osobną mową. Za temat obrał sobie zwycięstwo nauki przyrodniczej nad filozofią, indukcyi „fizyka“ nad dedukcyą „meta-fizyka.“ Gdy jednak dla pewnych względów należało ten temat oderwany powiązać organicznie ze stosunkami rzeczywistości uniwersyteckiej berlińskiej, zamiast ogólnego poglądu, wolał Virchow rozpatrzeć ten błogosławiony zwrot dziejowy na przykładzie uniwersytetu, którego przez lat już kilkadziesiąt był jednąz największych i najsympatyczniejszych ozdób. Opowiada nam więc szeroko niedawne zresztą dzieje założenia tej instytucyi w r. 1810, w dobie największego rozkwitu filozofii niemieckiej i w czasie najsilniejszego zarazem podniecenia narodowego, wywołanego bezlitośnem podeptaniem przez Napoleona najświętszych uczuć Germanii. Fichte, który umiał jednoczyć w sobie i umysł filozofa, szybującego po dalekich przestworach metafizyki i serce namiętne patryoty, w mgnieniu oka przykrawającego szkarłatną togę profesorską według miary munduru żołnierskiego — rozpoczął szereg myślicieli, którzy nadali i uniwersytetowi i opoce imię filozoficznych. Po nim nastąpił Hegel, który jakkolwiek umarł w r. 1832, jednak przez lat kilkanaście entuzyazmując słuchaczów swoich, porafił wywierać wpływ przez czas długi i na wszystkich polach umysłowości niemieckiej pozostawił ślad przez dziesięciolecia niezatarty. Kamień rzucony w wodę zatacza na powierzchni kręgi niekiedy silne, niekiedy słabsze znowu i krótkotrwałe; zdaje się chwilami, że już ślad wszelki po nim zaginął bezpowrotnie — a tam zdala, dziwnym, tajemniczym wpływem niesiony prąd rzeki znowu załamuje spokojną taflę wodną we wzory przed chwilą widziane. I w nauce dzieje się podobnie: sprężyna, która mózgom ludzkim przez czas pewien kazała myśleć w pewnym kierunku, pęknie, wpływ ustanie; zdawałoby się, że tylko bibliograf i historyk wiedzieć o nim będą — tymczasem, rzecz dziwna, i dzisiaj jeszcze w fakultecie filozoficznym tutejszego uniwersytetu zasiada taki oto szczery uczeń — liczący dzisiaj 90 lat — Hegla, krew z krwi jego i kość z kości — Michelet. Takie okazy zaliczać należy bezwątpienia do fauny kopalnej, której nie brak w ruinach nauki żywej, współczesnej, które z dobrym skutkiem wypełniają zadanie straszydeł względem dawnych przebrzmiałych teoryj i jednocześnie niby żywe pierścienie łączą organicznie przeszłość z teraźniejszością. Trzymając się jednak raz wypowiedzianego porównania, musimy dodać, że działalność Micheleta jest właśnie takim, nie wiadomo skąd powstałym kręgiem wodnym, budzącym się zdala od głównego ogniska, boć już dawno, przedawno śpiewała nauka heglizmowi — „requiem“ pogrzebowe. Nie dziś dopiero dumnie z Virchowem stwierdzić możemy, że znajdujemy się w znaku astronomicznym nauk przyrodniczych: jeszcze na drugim zjeździe przyrodników niemieckich uczynił to niedawno zmarły znakomity Siemens. Virchow ze sprawiedliwem zadowoleniem wykazuje świetne postępy przyrodoznawstwa w zdobyczach teoretycznych, w nowych metodach badań i w zastosowaniach praktycznych, ale nie zamyka oczu na niebezpieczeństwa, na jakie wystawione są bezustannie niektóre gałęzie wiedzy, badające życie i jego tajemnice — biologia w całokształcie jej doktryn i poszczególnych zagadnień. „Wprawdzie od czasu, kiedy wiemy, że życie jest działaniem komórki, nikt już nie będzie przywoływał siły życiowej, ale mimo to zagadnienie istoty życia rozwiązanem w taki sposób nie zostało, a jak długo pozostajemy w niewiadomości, tak długo szeroko otwarte są wrota nauki dla mistycyzmu.“ Przypomina Virchow, jak na początku naszego stulecia toczyły się żywe rozprawy o magnetyzm zwierzęcy i jak pomimo opozycyi uczonych dopuszczeni zostali dwaj przedstawiciele tego kierunku, Wolfart i Koreff do zajmowania katedr w nowootwartym uniwersytecie (1816 i 1811 r.). Dzisiaj na miejsce magnetyzmu — spirytyzm i hypnotyzm z podobnemi pretensyami występują do nauki zawodowej. „Czy uda jej się — pyta nasz uczony — utrzymać gościniec nauki w czystości nieskalanej przez słabą myśl ludzką.“

Zauważyliśmy powyżej, że chodziło V. o powiązanie tematu swego z rzeczywistością dzisiejszą i z audytoryum, przed którem mówił. Czas nasz — rzekł w zakończeniu swej przemowy — nie dostrzega, albo lekceważy sobie siłę ruchów mistycznych, którem i przy pomocy niektórych „rycerzy“ nasiąka dusza ludu. „Dzisiaj stoi bez wyjścia przed zagadką antisemityzmu, o którym nikt nie wie, czego właściwie chce w czasach równouprawnienia ogólnego, a mimo to, i być może dla tego właśnie odurzająco działa na młodzież wykształconą. Dotychczas nie żądano jeszcze katedry dla antisemityzmu, ale opowiadają, że posiadamy już profesorów antisemickich. Kto zna dzieje filozofii nauk przyrodniczych w jej najradykalniejszych odnogach, tego nie zdziwią podobne zjawiska... I to samo, co widzimy w świecie umysłowym, stosuje się i do moralnego. Chęć postępowania uczciwego i szlachetnego polega na uczuciu wewnętrznego zadowolenia, jakie czujemy, kiedy postępowanie nasze odpowiada rozumowi i obowiązkom człowieka. Zadowolenie zwiększa się z chwilą, kiedy w grę wchodzi pewne moralne zwycięztwo nad namiętnością ludzką, nad osobistym interesem, nad egoizmem. Czyliż w rzeczy samej koniecznem jest przymusowe zobowiązanie, albo czyż niema prawa moralnego, któreby wypływając z natury ludzkiej, skłaniało nas ku uczciwości, ku szlachetnemu postępowaniu? Czyliż kategoryczny imperatyw Kanta był tylko filozoficzną formułą, niczem więcej?“ Tak mówił siwy Virchow — czuli i wiedzieli wszyscy, kogo ma na myśli. Nie trzeba być niemcem i znać tajników życia narodowego; kiedy się przechodzi koło słupów reklamowych Berlina, gęsto rozsianych po szerokiej płaszczyźnie wielkiego miasta i czyta brudnoczerwone plakaty, na których obok antisemitów wzywa się i studentów do sztandaru „świętej sprawy narodowej“ i kiedy się jest przyzwyczajonym do innych zupełnie kojarzeń społecznych — to ani nie dziwią złorzeczenia starca, ani nie wydają się nieusprawiedliwionemi. Tę zapewne cząstkę młodzieży miał na myśli Schmoller i Gneist, którzy na ostatnich wykładach swych w filipikach przeciwko burszom nieobecnym stale w ścianach uniwersytetu odsądzili ją od tak zapalczywie bronionej zwykle czci studenckiej i wiary ludzkiej. Nie słychać było w tym głosie uczonych weteranów ani miłości ojcowskiej, karcącej pobłażliwie błędy młodości, ale nieprzestającej wierzyć w wiekuisty znicz jej idealizmu — przeciwnie, tam czuć się dawała i rozpacz ostateczna po niezdałych tysięcznych próbach rozumnego oddziaływania i szczera nienawiść dla tych, którzy bez serca dla nędzy ludzkiej i bez mózgu zdolnego rozumieć zjawiska społeczne i wskazać drogę do ich rozwiązywania idą, niby ćmy nocne w ogień, podniecany wciąż zdradliwą ręką „rycerzy społecznego przemysłu.“ Nie ulega atoli żadnej wątpliwości, że i w ogólnej masie studenckiej tworzą się bądź większe, bądź mniejsze grupy, związane innym nieco poglądem na świat i ludzi, walczącym nie pod hasłem nienawiści, lecz przeciwnie, miłości względem bliźnich, ludu, maluczkich. Są to rozsiane wyspy na oceanie popędów i chuci ludzkich.

Bo nie ulega wątpliwości, że wykształcenie uniwersyteckie w formie dawnej, ściśle rzymskiej ostać się nadal nie może. W sferach właściwych zrozumiano już wreszcie, że gdy szkoła winna przygotowywać do życia, musi także uwzględniać jego potrzeby i wymagania, cele i ideały. To ostatnie, jak wszystkie zresztą objawy życia ludzkiego przekształcają się w perspektywie historycznej i na osi celów ludzkich raz po raz zmieniają miejsca swych drgań, przenosząc się z biegunu pożądań „osobni-

ka" — do przeciwległego bieguna wymagań i nadziei „społecznych"; w filozofii przeciwstawienie to będzie indywidualizm — uspołecznienie (właściwie powinniśmy powiedzieć inaczej; nie mogąc jednak użyć wyrażenia właściwego zamilczamy go przez równoznacznik językowy polski) w etyce wreszcie egoizm — altruizm. Prawo rzymskie wraz z jego wązkim prywatnym czysto poglądem, na stosunki ludzkie, nie odpowiada już dzisiaj ani potrzebom nowoczesnej szkoły „państwowym," szerokim, organicznym. Zrozumiano to już w nauce zawodowej profesorów niemieckich, tych kastalskich zazwyczaj źródeł konserwatyzmu i historyi. Przed dwoma blizko laty zabrał w tej kwestyi głos prawnik wiedeński prof. Exner i w pięknej rozprawce, znanej już czytelnikom naszym, jedną jej stronę „polityczną" oświetlił (*Ueber politische Bildung* 1891). Inną ważniejszą jej stronę pilniej jeszcze i głośniej domagającą się reformy w planach wykładów uniwersyteckich obrał za przedmiot okolicznościowego odczytu Feliks Stoerk. Znaliśmy dotychczas nazwisko to, jako należące do znakomitego dzisiaj profesora w Gryfii, który w świecie naukowym potrafił sobie zdobyć palmę odznaczenia, jako wydawca cennego „Archiwum dla prawa publicznego" i jako autor głębokiego studyum z metodologii prawa publicznego *); poprzednie atoli prace Stoerka nie zwiastowały tych wstrętnie pruskich przekonań, jakie wioną z każdej prawie stronicy rozprawy, pisanej oczywiście w celach... aż nadto przejrzystych. Pozostawimy mu w najzupełniejszem posiadaniu ten wianuszek kwiatów przydrożnych, zerwanych nabożną ręką na gościńcu karyery — a postaramy się natomiast wydobyć z popiołów idealizmu jeden i drugi pogląd, które mają prawo stać się własnością ogółu. Jakże nie zgodzić się np. z autorem „Der Staatsbürgerliche Unterricht," kiedy mówi o opłakanym stanie literatury podręczników prawno-państwowych niemieckich. Najlepsze nawet z ostatnich spoczywają całkowicie w sieci sprzeczności teoretycznych, albo zagadek metafizycznych, inne znowu są zbiorem suchych luźnie zestawionych dat, paragrafów prawa, ustępów konstytucyi pruskiej itp. Stoerk sądzi, że w tych książkach przeznaczonych dla młodzieży, zaznajamiającej się poraz pierwszy z podstawami swego ustroju prawnego, politycznego i społecznego — nie powinna ona znajdować badania, ale wiedzę, nie obciążać swej pamięci nowym a niepotrzebnym balastem, nie zadawalać swej zrozumiałej zresztą ciekawości oderwanemi cząsteczkami nowej specyalności naukowej, ale przeciwnie mieć dokładny i barwny obraz stosunków ojczystych. Pod tym względem Szwajcarya może innym państwom europejskim być znakomitym przykładem. Posiadamy już tam liczną literaturę, która począwszy od lat najmłodszych wprowadza ucznia w świat stosunków rodzinnych, miejskich i kantonalnych, wskazuje mu prawa, jakie zdobywać, obowiązki przedewszystkiem, jakie spełniać należy, ażeby wyrobić w sobie cnoty Winkelriedów i Tellów. Nie każe uczyć się bezrozumnie odnośnych reguł prawnych i administracyjnych, ale każe je raczej odczuwać i pjmować. I to stanowić winno wskazówkę dla nauki niemieckiej, która, jak sądzi Stoerk, powinna przejąć się pięknemi słowy prawnika rzymskiego, głoszącego, że „znać prawo, nie znaczy to pamiętać jego brzmienie dosłowne, ale siłę i wpływ dobroczynny rozumieć."

*) *Zur Methodik des öffentlichen Rechts*, 1883.

Zen. Por.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NAD NEWY.

III.

14 września.

Jednem z najbliższych zadań prasy codziennej jest odbicie miejscowego życia ze wszelkiemi ważniejszymi jego szczegółami. Z tego tytułu oddzielny numer każdej gazety możnaby nazwać zwierciadłem dziennych wypadków miasta. Ze względu na jakość prawdy odbicia wypadałoby rozróżnić pomiędzy tego rodzaju lustrami — lustra o powierzchni gładkiej, wypukłe, wklęsłe, porysowane, podskrobane na odwrotnej stronie itp. Te bowiem różnice wpływają na to, że twarz człowieka zasłużonego odbija się nieraz w gazetach zmienionymi karykaturalnie rysami, że łuna drobnego pożaru przybiera w odbiciu rozmiary przerażające, że miny zadowolonych jubilatów wydłużają się naraz boleśnie (po odbiciu), a zupełnie przyzwoite niewiasty dostają w pewnych miejscach nadto zaokrąglone kształty...

Po za formą odbicia istnieje jednak właściwość, znacznie godniejsza uwagi: jest to oświetlenie odbitych obrazów, pewien zasadniczy ton danej gazety lub też całej miejscowej prasy, albo, że tak powiem, stosunek reporterki do miasta.

Pod tym względem codzienna prasa Petersburgska tak mocno różni się od warszawskiej, że doprawdy warto przyjrzeć się tej różnicy.

Reporter, albo powiedzmy nieco szumniej, „dziennikarz syreniego grodu" zachowuje się względem Warszawy, jak średnio elegancki młodzieniec wobec kochanki: zna on, albo przynajmniej posiada pretensyę, że zna wszystkie zakątki swojej ukochanej, jej potrzeby, zalety, słabostki. Pała on reformatorską żądzą dogodzenia jej wszystkim kaprysom; wpada w szał egzaltacyi, widząc ją ustrojoną w kwiaty na „corso" i bredzi swoim zachwytem przez całe tygodnie; nie przeszkadza mu to z drugiej strony w strofowaniu „ukochanej," kiedy ta miewa np. zanieczyszczone kanały, wreszcie robi jej sceny zazdrości, widząc, że obce towarzystwa objeżdżają ją swojemi tramwajami. Słowem, traktuje ją zawsze, jako osobę bliską swemu sercu, jako niezaprzeczalną swoją własność.

Ogromy i surowy Petersburg oczywiście nie mógł wywołać w miejscowej prasie tego rodzaju stosunku. Dziennikarz tutejszy zachowuje się względem niego, jak poważny interesant względem wysokiego urzędnika. Pochyla się przed nim w ukłonie pełnym szacunku, ale jednocześnie starannie studyuje dziury w butach dostojnej osoby. Posiada on dla niej zawsze uśmiech uprzejmy i mnóstwo delikatnych grzeczności na ustach, ale w stosownym momencie podnosi naraz głos, objawia natarczywie swoje żądania miejskich reform, a czasami nawet zadaje razy krytyczne, dowodzące dużej znajomości słabostek wielkiego dostojnika. Petersburg przecie góruje zawsze nad swoim dziennikarzem i nie dopuszcza go do zbytniej poufałości; wysoki urzędnik posiada w fałdach swojej szorokiej odzieży tajemnicze dokumenty, niedostępne dla oka dziennikarza.

Dlatego ton kronik miejscowych sprawia na mnie częstokroć wrażenie suche; czyta się je prawie ze zmarszczką powagi na czole, bez tego miłego uśmiechu, który towarzyszy czytaniu gazet warszawskich. Po za humorystycznemi pismami, grającemi wszędzie rolę błaznów miasta, jedyny wyjątek pod tym względem stanowi *S. Petersburska Gazeta*. Ale jej przytyki i żarty są figlami w rodzaju tych, jakie nawet wysoki urzędnik dozwala sprytnej i figlarnej młodzieży.

Jest w Petersburgu, w blizkości „Gorodskiej Dumy," której nieskończone obrady i niezdecydowane decyzye stanowią najulubieńszą tarczę dziennikarskich pocisków, maleńka kawiarnia polska, ciesząca się wielkim napływem gości, szczególniej w porze obiadowej. Bywa tu publiczność mieszana, ruska i polska, mówiąca odpowiednim mięszanym językiem, stanowiącym, być może, embryjon przyszłego. Tutaj na tak szeroką skalę praktykują się zapożyczania jednej mowy u drugiej, że panslawista (z rodzaju kopalnego), słysząc je, mógłby doznać prawdziwego dreszczu rozkoszy. Tutaj uprzejmi kelnerzy zapytują: „jaki obiad pan *zakaże?*" z czego jednak nie należy wnosić, że sz. gospodyni tego zakładu daje obiady „zakazane." Tu właśnie mam zwyczaj studyować *Kuryera warszawskiego*, „trzymanego" przez właścicielkę kawiarni. Tu wreszcie, podczas „studyów" urodziła się w mojej głowie myśl zaznaczonej wyżej paraleli pomiędzy gazetami Petersburga i Warszawy.

Kiedy biorę w tem miejscu do ręki *Kuryera*, nie mogę oprzeć się miłemu wrażeniu tchnienia rodzimego, jakie on przynosi ze sobą. Czytając go, ulegam niekiedy złudzeniu, że to list, pełny ciekawych wiadomostek i przyjemnych ploteczek, pisany specyalnie dla mnie przez jakąś poczciwą cioteczkę z Warszawy. Odwracam nawet umyślnie tytułową stronicę, aby przekonać się, czy na miejscu nagłówka nie znajduje się moje imię z nieodłącznym epitetem: „mój kochany." Ale tak dobrze nie jest na świecie! Wydrukowano wyraźnie, zamiast „mój kochany," wyrazy: „Kuryer warszawski."

Lecz list, czy *Kuryer* — wszystko jedno. Dość, że przy czytaniu uczuwam rodzinny zapach kuchennej kapusty i ulubionych perfum z buduaru mojej cioteczki („rękawiczek numer piąty," jak zapewnia Gomulicki) — skutkiem czego robi mi się na duszy jakoś przyjemnie — ciepło — domowo!

Jeżeli czytelnik *Prawdy* nie podziela moich zachwytów nad *Kuryerem* (których nauczyć może tylko długie i znaczne oddalenie), to przepisuję mu porzucenie kawiarni polskiej i udanie się wraz ze mną na wycieczkę do niezbyt oddalonego Letniego ogrodu.

Nie imponuje on wprawdzie rozmiarami, jak Saski, nie został jeszcze ochrzczony przez żadnego z tutejszych reporterów „letnim salonem Petersburga." nie jest „nabity" publicznością, jak piszą u nas (tutaj tak samo piszą!), jednakże zielonością swoich drzew i schludnością ścieżek przedstawia się bardzo sympatycznie, zwłaszcza po przejściu przez skwarne ulice, pełne kurzu i zasypywane pyłem mularskim odnawianych i nowobudowanych kamienic.

W ogrodzie znajduje się tylko jeden posąg oryginalny, ale wykonany *con amore*, Jest to bronzowa statua bajkopisarza Kryłowa, w pozycyi siedzącej, z kajetem i ołówkiem w ręku. Bije z tego posągu przedziwny realizm: szeroka, barczysta postać, długi staromodny surdut, niezapięta na szyi koszula, wszystko to, zda się, tak wyraźnie mówi, że to Kryłow, jak i ogromna okrągła głowa, dobroduszna twarz o wypukłych mięsistych rysach, jak wreszcie cały ten światek zwierząt, wypłaskorzeźbionych na kwadratowym piedestale posągu, a przedstawiający rozmaite epizody z bajek wielkiego współzawodnika Lafontaina.

Staję przed tym posągiem i przyglądam mu się z zajęciem i wydaje mi się tylko, że rzeźbiarz zbyt wiele powagi tchnął w twarz dobrodusznego bajkopisarza, zamiast ozdobić ją poczciwym uśmiechem. Zresztą, kto

wic, może artysta postąpił tak z rozmysłem: wszakże fantastyczna tkanina bajek posiada w sobie tyle czarnych nici, wszak w życiu bohaterów ich — zwierząt jest tyle tragi-komicznej analogii z życiem ludzi.

Więc może bajkopisarz rozmyśla w tej chwili nad próżną pychą pawiów, nad bezmyślną gadatliwością papug, nad losem jagniąt, pożeranych przez wilki, nad temi wszystkiemi scenami, wyobrażonemi na piedestale posągu.

A może pragnie wymyśleć jakąś nową bajkę, bo oto podniósł znacząco ołówek, zapatrzył się w dal.

Zawróciłem kroki, powtarzając sobie tę poważną strofkę z bajki i podążyłem ku domowi.

Na zakończenie parę słów o jednym charakterystycznym rysie tutejszego miasta. Mieszkaniec słodkiej Warszawy, w której cukiernie umieszczone są tak blizko siebie (np. na Marszałkowskiej), jak guziczki na kamizelce, z rozpaczą biegałby po ulicach Petersburga, szukając w pocie czoła tego rodzaju zakładu, aby wypić tam filiżankę kawy, zjeść porcyę lodów z ciastkiem lub przeczytać gazetę (często za darmo, tj. bez wykonania uprzednich czynności). Petersburg posiada nader małą ilość cukierni; w tak zwanych „bułocznych“ sprzedają wprawdzie ciasta, ale tylko „na wynos,“ do domu; w tych rzadkich cukierniach, jakie po mozolnem poszukiwaniu znaleść można, zazwyczaj przebywa tylko niższego gatunku publiczność; parę więc lepszych cukierni urządzono widocznie na wzór warszawski: zazwyczaj, proszących o szklankę białej kawy, zapytują tutaj, jak ją podać, „czy po warszawsku“? a kto nie chce dostać pod nazwą białej kawy — prawie tak czarnej, „jak sumienie kominiarza (!),“ ten odpowiada: „da, po warszawski.“

Miejsce cukierni zajmują tutaj restaucye, traktyernie, „porternyja“; pomiędzy niemi przeważają podrzędne, które pomimo posiadania specyalnych „czystych komnat“, ściągają tylko tak zwaną „gorszą“ publiczność.

Ponieważ do restauracyj, nawet lepszych (są tu i bardzo wytworne, a jeszcze bardziej drogie), nie uchodzi wstępować na małą chwilkę, mieszkaniec Warszawy, który przywykł w cukierniach urządzać rendez-vous z przyjaciółmi, robić tam zapasy plotek z *Kuryerów* i dowcipów z *Kolców*, aby stać się następnie interesującym w towarzystwie dam, lub też na zielonem suknie „zapędzać matkę do rogu“ — uczuwa tutaj dotkliwy brak. Tymczasem petersburczyk, przyzwyczajony jeździć, nie mający nigdy czasu do „wstępowania na małą godzinkę,“ nie pojmuje wcale tego braku; być może właśnie, że to unikanie pieszej lokomocyi jest powodem braku cukierniczych i kawiarnianych zakładów w nadnewskiej ulicy, które w innym wypadku powstałyby, choćby jako miejsce przystanków i odpoczynków.

Jeżeli wierzyć zapewnieniom paryżan, że historya robi się w kawiarniach, a zapewnieniom warszawiaków, że „historye urządzają się“ w cukierniach, to Petersburg nie jest powołanym do zrobienia historyi, a historye zmuszony jest urządzać w klubach. Jeśli wzorem socyologii Spencera pozwolimy sobie ryzykownych porównań, to należałoby za komórki miejskiego organizmu uważać w Warszawie — cukiernie, w Paryżu — kawiarnie, w Berlinie — bawarye, a w Petersburgu — kluby. Tam właśnie (zwłaszcza w zimowej porze) zbierają się gromadnie tutejsi ojcowie rodzin, zwabieni przez panujący wszechmocnie wint. Pono nie bardzo zadowolone są z tego małżonki Petersburczan; pragną one widzieć swoich małżonków w klubach, ale własnej roboty.

Leo-Belmont.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

XIII.

Lubię przypatrywać się wystawom kalifornijskim. Jeśli wyobraźnia uniosła mnie daleko na widok gajów oldeńskich, jak wysoko musi szybować, kiedy stanąłem w obliczu zamiarów kalifornijczyka! Te stosy pomarańcz, brzoskwiń i cytryn, te słoje winogron, fig i daktylów, czyż nie są one wymownem świadectwem, że kapitalista z całą gorliwością szakala, węszącego zyski, krząta się tam nad założeniem nowego Edenu? Płody, które w ciągu dziesiątków tysięcy lat rutyniczna ręka zbierała w ustroniach, poprzedzielanych niezmierzoną przestrzenią, zostały zniesione do jednego miejsca, poddane tresurze, a nauka objęła kierownictwo. Kalifornia zawsze jest ojczyzną gorączki złota, kiedyś dobywano je z łona ziemi, dzisiaj zgarniają z gałęzi drzew. A zaprawdę jest to dziwnie urodzajny kraj. Trzechletnie plantacye dają już obfite zbiory, wiśnie wyrastają do 60 stóp i mają w obwodzie po 8, uginają się pod ciężarem owoców.

Kraina ta zamienia się zwolna na olbrzymi sad. Człowiek względem przyrody spełniał dotychczas niecną rolę zbója, który ogołacał powierzchnię ziemi z szaty leśnej. Kalifornijczyk usiłuje przywrócić tę osłonę, ale zamiast dzikiego kroju, daje jej cywilizowany, owocowy. Tam, gdzie przed dziesiątkiem lat nie było ani jednego drzewka, teraz ciągną się tysiące akrów gaju. A są to tylko szaty liczniejszego zastępu! Kalifornia szczodrze obdarza na wystawie przechodniów różnemi broszurkami, mającemi zwabić wychodźców. Wszędzie kładzie ona nacisk tylko na sadownictwo, jak gdyby pragnęła całą swoją przestrzeń przekształcić na olbrzymi Eden owocowy. A takie są w samej rzeczy jej zamiary! Po głowie jej obywateli tuła się ambitna idea, ażeby Kalifornii w międzynarodowym podziale produkcyi dostała się rola sadu, jak górom Szwajcaryi i holenderskim nizinom — wyrobu serów.

Koncentracya sadownictwa rodzi dalsze skutki. Świeży owoc wędruje z Kalifornii do Bostonu i New-Yorku, ale przecież łatwiej przebyć tę drogę przerobionemu na soki i konserwy. To, co u nas jest jeszcze dziełem domorosłej gospodyni, tam stało się przemysłem fabrycznym, a wśród gajów poczynają ukazywać się zakopcone kominy, strzelające wysoko ponad plantacyami. W górnej galeryi możemy oglądać baterye słojów, wystawionych przez różne firmy. A chwalą się one nietylko swoimi produktami. W pawiloniku jednej z nich wiszą fotografie. To szczegóły transportu. Pociąg, złożony z 25 wagonów towarówek, wywozi z Kalifornii owoce i produkty jednej fabryki, która u dołu fotografii dodała: „widok, nieoglądany jeszcze w dziejach.“ Ale kiedy jednemu zbiera się na śmiech, inny musi gotować się do płaczu. Co pocznie wieśniak sycylijski, kiedy Kalifornia będzie na rynek wszechświatowy wyrzucała masy swego owocu? Czy na zegarze dziejowym nie wybije godzina nędzy i ciemnoty dla południa i tak już ubogiego i ciemnego? Cała Halla owocowa przedstawia się nam w innem świetle. Ameryka wznosi baterye przeciwko staruszce Europie, powna zaś zwycięztwa zaprosiła ofiary do przyjrzenia się tym śmiertelnym pociskom.

* * *

A nietylko Kalifornia, ale Colorado i Oregon marzą także o przekształceniu swoich obszarów na lasy owocowe. Tamtej pozostawiają płody południowe, sobie — resztę. Właśnie stoimy wśród zbiorów oregońskich. Rzęd za rzędem ciągną się napisy buńczuczne, brzemienne reklamą, lecz charakterystyczne. „W oregonie zrobisz fortunę na ogrodownictwie!“ Uderzono w najczulszą strunę duszy ludzkiej robigroszowego ustroju... Później idzie obrachunek: „Oregon, to raj owocowy!“ „Ojczyzna czerwonej jabłoni.“ „Ukochane siedlisko śliwy,“ gdzie „grusze ważą po trzy funty,“ „brzoskwinie mają po 17, a wiśnie po 3¾ cali.“ Nie ma najmniejszej wątpliwości, że tymi napisami przemawia smok reklamy. Ale amerykanin, gdy idzie o trwałe zyski, pamięta, że wszelki żart ma swoje granice i że nie gorszego, jak przebrać miarkę. W jego bladze tkwi zawsze źdźbło prawdy! U dołu spostrzegamy potwornej wielkości owoce. Może to także wyjątki, ale dzisiejszy biały kruk w inżenieryi pomologicznej jutro stanie się zasadą. Jest to dziedzina, gdzie z wielkiem powodzeniem hodują arystokratów i w przepaść nicości rzucają organiczne pospólstwo.

Czyż te reklamy Oregonu i Kalifornii nie zwiastują nowej fazy w dziejach ludzkiego osadnictwa? Człowiek kolonizował glob ziemski w imię najrozmaitszych haseł. Szerzył pożogi i rzezie pomiędzy dwunożnymi ssakami; wędrował, pędząc przed sobą trzody i poszukując pastwisk; karczował knieje i nowinom powierzał ziarno, ufny, że jego zachody będą uwieńczone sowitym plonem. Ale ażeby jął kolonizować ziemię w imię owocowego fermerstwa, to dopiero sprawiła doba dzisiejsza. Zamiast worków pszenicy — stosy owoców, zamiast ulepszonych kos—noże ogrodnicze, zamiast pól pszennych — gaje, tak wygląda osadnictwo nad brzegiem Pacyfiku.

* * *

Rewolucya wkracza do ogrodownictwa, rewolucyonistami są zaś amerykanie. Sadownik europejski wyhodował kilka gatunków szlachetnego owocu, ale nie poszedł dalej, a poniekąd pójść nie mógł. W naszej części świata rynki rozsiadły się niedaleko sadów i udaremniły wszelki postęp techniczny przewozu. Życie nie domagało się śpichlerzy owocowych, zresztą zbrakło też na przedsiębiorczości. Po tamtej stronie Atlantyku śpichlerze stały się zjawiskiem codziennem, a fermerzy-ogrodnicy obradują nad tem, jakby stworzyć coś w rodzaju elewatorów — rozumie się nie dla zboża, ale dla owocu! W Halli na jabłkach widnieją napisy: świeże. Aż do tego doszło! Bo obok rozłożone są stosy owocu z 1891, a nawet 1890, wyglądające tak samo.

Europejski ogrodnik jest rutynistą. Wbił sobie do głowy różne przesądy. Ubrdało mu się, że to jest szlachetnem, co zostało uszlachetnionem przed wiekami. Zapomniał, że najpiękniejsze grusze pochodzą od zwykłej dziczki. Parweniusz amerykański, w którego oczach chłop szląski dobija się godności senatora, lubo jest przybyszem, inaczej spogląda na przyrodę. Dlań „hołota“ jest roztworem, z którego mogą się osadzić najcudowniejsze kryształy. A zatem na stacyach doświadczalnych pielęgnuje żurawinę, czernicę, jerzynę, orzech laskowy; kto wie, dokąd te próby doprowadzą. Marne czernice i orzechy laskowe znalazły się nawet w Halli owocowej. Wątpię, czy w kastowej Europie ten chłopski owoc doczekałby się podobnego uznania. Brr, plantacye czarnych jagód! Na taką propozycyę oburzyłby się każdy szanujący siebie ogrodnik arystokratycznej Europy. On uprawia tylko pańskie owoce, chamskie niechaj rosną dziko!

* * *

Odurzony kilkugodzinnym pobytem w Halli owoców, wychodzę z szumem w głowie. Nad jeziorem przeglądam notatki: może wyobraźnia, rozkołysana zapachami owocu, uniosła mnie zbyt daleko?

Nie, mimo trzeźwości nie odkrywam w nich błędów; przeciwnie, czuję, że może gdybym był trzeźwym, na wzór przyzwoitego a rozsądnego filistra, nie uchwyciłbym tak wyraźnie tendencyi. Dowód to nie na korzyść narkotyku, ale przeciwko—ślimaczej oględności.

5 sierpnia. Chicago, wystawa, Halla rolnicza na wystawie.

Prowadzę studya nad logiką ludzką! Przede mną wznosi się coś w rodzaju wieżyczki, a schody czepiają się jej powierzchni z zewnątrz. Owa wieżyczka jest drewnianą szatą, okrywającą nagość sławnego Jumbo, o którym słyszałem jeszcze podczas przejazdu przez Ocean. Jumbo jest okazem okrągłego sera, wysokiego stóp 6, a posiadającego w obwodzie stóp 28. Rząd kanadyjski wysłał go aż oddzielnym pociągiem i wystawił w Halli rolniczej. Różne tablice głoszą sławę tego olbrzyma: jedna opowiada, że na ten ser zużyto całodzienny wydój przeszło z dziesięciu tysięcy krów, druga — że Jumbo waży 22 tysiące funtów, jeszcze inna — ale dajmy spokój tej litanii nadzwyczajności.

Dziwny, istotnie geldhabowski gust — myślę sobie. Ale niebawem przekonywamy się, iż władze kanadyjskie lepiej znają naturę ludzką. Nieproszony wdaje się ze mną w rozmowę jakiś fermer z Indyany. Dusza jego jest pełną ekstazy a sam on potrzebuje przed kimś wynurzyć swój zachwyt. Co za piękny i wspaniały ser — około tego obraca się nasza rozmowa, którą fermer kończy zgoła niespodziewanym wnioskiem: lepiej sprzedać fermę w Indyanie i wynieść się do Kanady!

— Czy w Kanadzie wiedzie się fermerom tak dobrze? — rzucam pytanie.

— Naturalnie!

I mój interlekutor pokazuje w kierunku sera.

Dowód istotnie nie do odparcia! Jak widać, są na świecie różne logiki, a między niemi taka, do której trafia Jumbo... Rząd kanadyjski widocznie zna swoich i zbadał ich logikę. Wszędzie na serze rozwiesił odezwy kolonizacyjne, a nadto wtyka je przechodniom do ręki. Jumbo występuje na wszystkich z drukowanymi hymnami ku większej chwale Kanady. Wartość rocznego wywozu serów jest większą, niż w Stanach Zjednoczonych; w jej granicach znajduje się aż półtora tysiąca fabryk sera i masła, rząd przychodzi z możliwą pomocą, bo buduje stacye doświadczalne i utrzymuje wędrowne szkoły nabiałowe, wolnej ziemi na osadników czeka sporo... A jeżeli powątpiewacie o prawdziwości i szczerości, spojrzyjcie na ten wymowny dowód, na ten ser mamutowej wielkości! Wiemy już, że przemówił on w taki sposób do czyjejś logiki. A nietylko władze kanadyjskie wyzyskują ową logikę ludzką. Jakaś firma w Londynie, trudniąca się na wielką skalę sprzedażą wiktuałów, oddawna nabyła tego olbrzyma, a kiedy wystawa zostanie zamkniętą, będzie go obwoziła po wszystkich miastach Anglii, jako świadectwo ogromu swoich interesów.

I czy jedynie wśród prostaczków popłacają takie dowody? Możesz w krótkich rozprawach złożyć sporo wiedzy i przenikliwości, ale w świecie molów gabinetowych i kretów nauki dopiero wtedy zyskasz uznanie, kiedy urodzisz mamuta, chociaż najnikczemniejszego smaku. Przed rokiem poznałem za granicą pewnego młodzieńca, pełnego wszystkich cnót obywatelskich, bo głowa jego odznacza się niewymowną trzeźwością, serce — praktycznością, a usta obfitują w słodycz anielską. Chce on sięgnąć po wawrzyny doktorskie — wszak przed swoim wyjazdem do Ameryki ktoś tylko dyplomowanej, doktorskiej mądrości dał w Warszawie prawo do zabierania głosu w sprawach społecznych — marzy później o katedrze uniwersyteckiej, a dzisiaj mozoli się nad wydaniem na świat... wielkiego sera. Tom pierwszy już wyszedł, a zawiera 40 arkuszy cytat z nieznacznym dodatkiem tekstu. Teraz autor poci się nad porodem drugiego. Całą mądrość, którą rozwałkował na tylu arkuszach, zdołałby streścić w jednym. Ale co robić! Spłodziwszy broszurkę, pozostałby niczem, a porodziwszy wielką księgę, od tego czynu sam wyżej urośnie...

Wynik praktyczny moich rozmyślań nad serem kanadyjskim: kto chce zyskać imię, niech trzyma się następującej zasady. Niech drukuje tylko Jumby! Rzecz łatwa: można zebrać swoje artykuły, mniejsza że jeden idzie do Sasa, drugi do Lasa, ażeby książka grubo wyglądała; nadto wydrukować ją na papierze jak najgrubszym, zyska wtedy na tuszy. Zaleca się przytem, aby tytuł oddychał głęboką uczonością: zarys, zasady, podstawy, metoda — sądzimy, że kto ma głowę dobrą na karku, znajdzie odpowiedni nagłówek. Za powodzenie ręczymy.

L. K.

Z POWODU SETNEJ ROCZNICY
założenia katedry języka czeskiego.

Wiadomo, że w ciągu XVIII wieku język niemiecki był wszędzie panującym w Czechach. Za prawami mowy ojczystej przemawiali w specyalnych broszurach hr. Franciszek Kinsky (1774), jezuita Balbin (1775), Karol Tham i Hanke z Hankensteinu, piszący pod pseudonimem Jana Kohouta (1785). Dopiero cesarz Franciszek I (1792—1835), który po Leopoldzie II (1790—1792) wstąpił na tron, przyczynił się do założenia katedry języka i literatury czeskiej przy uniwersytecie prazkim, powierzywszy wykład tego przedmiotu Franciszkowi Marcinowi Pelclowi. Dozwolono równocześnie po gimnazyach udzielać lekcyj mowy czeskiej, czego dotąd nie dopuszczono.

W sierpniu r. b. mieszkańcy miasta Rychnowa, szczycący się urodzeniem Pelcla w swoim grodzie, postanowili stuletnią tę pamiątkę uczcić obchodem jubileuszowym.

Franciszek Marcin Pelcel, syn mieszczanina rychnowskiego, urodził się d. 11 listopada 1734 r. Kształcił się u jezuitów w Kralové Hradcu. Tamże u cystersów słuchał filozofii, a fizyki na Starem Mieście w Pradze. Z powodu wojny z Prusami w r. 1757, będąc już bakałarzem nauk wyzwolonych, udał się do Wiednia, gdzie przy tamtejszym uniwersytecie słuchał prawa, nie zaniedbując przytem filologii i historyi. Wróciwszy do Czech, otrzymał ochmistrzowstwo nad młodymi hrabiami Stembergami Janem i Joachimem, następnie u hr. Kostica, gdzie mając odpowiednie zabezpieczenie bytu, oddawał się ulubionym studyom. Mając lat 44, zawarł związki małżeńskie. W zaciszu też życia rodzinnego zbierał materyały do dziejów Czech p. t. *Kurzgefasste Geschichte der Böhmen von den ältesten bis auf die neuesten Zeiten* (Praga 1774, 1779 i 1782). Dzieło nie bez wartości, jak na swój czas. Autor korzystał z wielu źródeł. Styl prosty i szlachetny. Jego to zasługą jest wydanie rozprawy łacińskiej jezuity Balbina w obronie języka czeskiego.

Pracę Pelcla o biografii Karola IV (1780—81) uważać można za źródłową. Na zarzuty złośliwych krytyków autor odpowiedział książką p. t. *Apologie des Kaisers Karl IV* (1785). Do spółki z Voigtem wydawał życiorysy znakomitych uczonych czeskich i morawskich (1773—1782). Zbierał kroniki czeskie i przy współudziale Dobrowskiego ogłosił *Scriptores rerum bohemicarum* (2 tomy w Pradze 1782—84). W 1786 r. wydał Pelcel: *Böhmische, Mährische und Schlesische Gelehrte und Schriftsteller aus dem Orden der Jesuiten.* Znakomitem i pomnikowem jego dziełem jest biografia kr. Wacława IV p. t. *Lebensgeschichte des römischen und böhmischen Königs Wenceslaus.* W dodatku załączony liczny zbiór dyplomatów. Zachęcony powodzeniem pierwszej pracy swojej, tj. *Historyi czeskiej* po niemiecku, wydał ją w 3 tomach p. t. *Nova kronika ceska* (I 1791, II 1792 i III 1796).

W r. 1793 dekretem cesarskim założono katedrę języka i literatury czeskiej przy uniwersytecie prazkim. W marcu t. r. rozpoczął Pelcel wykłady po niemiecku. W lekcyi wstępnej pięknemi słowy wykazał zalety i potrzebę znajomości języka czeskiego. Odtąd poświęcił się studyom przeważnie lingwistycznym. Przygotował bogaty zbiór dokumentów, lecz śmierć jego d. 24 lutego 1801 r. nie dozwoliła mu wydać na świat tych źródeł. Czechy straciły w nim światłego i miłującego prawdę męża, którego życie było jednem pasmem pracy i poświęcenia.

J. F. Gajsler

KARTKI.

Z Zakopanego. Przyjemność przedewszystkiem: to hasło naszych dążeń i pomysłów. Pomijamy milczeniem najpilniejsze potrzeby codziennego życia, przechodzimy do porządku dziennego nad kwestyami, mającemi dobrobyt i krzepkość sił naszych na celu, a tracimy czas i pieniądze na obmyślanie chwilowych rozrywek, na naśladowanie zagranicy nie w prawdziwym postępie jej przemysłu i rozwoju, lecz w blichtrze zewnętrznym, w tem, co tam zresztą stanowi naturalny wykwit kultury, a co u nas jest nerwowem, pełnem próżności i pychy, szarpaniem się ku wyżynom bez fundamentów, bez dokładnego zdania sobie sprawy, że szczepimy u siebie owoc wonny i słodki, podczas gdy trzeba nam przedewszystkiem zboża na chleb powszedni.

Tak zawsze i wszędzie. Świeżo powstały w Zakopanem projekt założenia wielkiego kasyna, mającego dorównać wspaniałością budowy i przepychem wewnętrznego urządzenia znakomitszym tego rodzaju gmachom zagranicznym, stwierdza smutną cechę lekkomyślności naszej. Na budowę gmachu uciech i wesołości, który odbierze Zakopanemu cechę dotychczasowej jego prostoty, tak dogodną dla spragnionych powietrza wyrobników miejskich, którzy nie mają na opłatę blichtru i szyku, a tak ponętną dla zblazowanych zbytkiem małych naszych Rotszyldów i Makayów — napływają składki obfite. Za 100,000 guldenów letnicy zakopiańscy mają posiąść w przyszłości *europejską* salę zabaw, *europejski* gabinet bilardowy, takąż czytelnię, kręgielnię, taras dla krokieta i lawn tennys, restauracyę, halę koncertową itd. itd. To wszystko dla szczupłej garstki żądnych zabawy posażnych jedynaczek oraz dla kilkunastu *gigierlów*, którzy wyjeżdżają z miasta nie dla potrzeby płuc, znużonych pyłem miejskim, nie z tęsknoty za zielonością i szeroką przestrzenią łanów leśnych, lecz dlatego, iż wyjeżdżać w czasie lata nakazuje zwyczaj wielkoświatowy.

Jeden ze znanych naszych i cenionych ogólnie lekarzy, mając dobro letników oraz stałych mieszkańców Zakopanego na celu, wystąpił w czasie sesyi, zwołanej dla ufundowania kasyna, z uwagą, iż pieniądze, zbierane na budowę gmachu, nierównie pożyteczniej należałoby obrócić ku uzdrowotnieniu bardzo jeszcze pierwotnej we wszystkich swych urządzeniach osady tatrzańskiej, stanowiącej najliczniej uczęszczaną u nas obecnie stacyę klimatyczną.

Zakopane nie ma wody. Potoki górskie przerzynają tam wprawdzie co krok każdą niemal drożynę, stanowiąc jednak zarazem ścieki wszelkiego rodzaju odchodów, pralnie prowizoryczne, spław bydła itd., grożą w razie epidemicznej choroby szybkiem rozprzestrzenieniem zarazka,

a i w normalnym czasie nie przyczyniają się do udoskonalenia warunków pobytu na miejscu. Dosyć zatrzymać przez noc trochę wody w szklanem lub drewnianem naczyniu, aby dostrzedz gołem okiem miliony mikrobów, jakie w niej powstają i uczuć niemiłą woń gnijących szybko drobinek.

Zwiększający się z każdym rokiem napływ gości, wzrastająca ludność miejscowa powinnyby skłonić zarząd osady do obmyślenia środków, usuwających zło, które w tej chwili niezbyt jeszcze widocznie daje się we znaki, które z czasem jednak groźne i niebezpieczne przyjąć może rozmiary. Niestety jednak, głos paru jednostek dobrej woli umilknąć musi wobec ogółu, inne cele mającego na widoku.

My przedewszystkiem bawić się potrzebujemy. Potrzebujemy sprezentować Maćkom i Wojtkom, podziwiającym dotychczas jedynie przepych przyrody, blichtr i szyk zagraniczny.

Co nas obchodzi, że jedyna w swoim rodzaju na duży szmat Europy miejscowość zdrowotna straci z czasem na wartości swej i znaczeniu skutkiem braku odpowiednich urządzeń hygienicznych, a straci przez lekkomyślność i niedbalstwo nasze?

W razie katastrofy będziemy ubolewali, dziś wolimy myśleć o zabawie. Kosztem zdrowia — kto wie, ilu ofiar w przyszłości — stanie gmach, który nasze pisma brukowe powitają salwą okrzyków nieskończonego zachwytu. *C. W.*

W sprawie kelnerek. Ciekawą ankietę urządził tymi czasy w Berlinie redaktor pewnego pisma literackiego. Już oddawna nie w stolicy niemieckiej tylko, ale i pod innymi stopniami szerokości geograficznej podniosła głos oburzenia opinia publiczna i prasa krajowa nad losem kelnerek restauracyjnych. W roku zeszłym zwołano kilka zebrań publicznych, na których ofiary wyzysku i rozpusty wielkomiejskiej wyłożyć miały swoje bóle i wykazać drogę reformy. Próby te dla przyczyn wielu, których tutaj wyliczać nie będziemy, chybiły celu zupełnie — i do żadnych rezultatów, prócz do rozbudzenia silniejszego niezadowolenia interesowanych, nie doprowadziły. Wobec tego p. Karol Schneidt obrał inną drogę — drogę prywatnej ankiety, dłuższą i mozolniejszą. Rezultaty otrzymał, co można było przewidzieć, rozpaczliwe. Zjawiska społeczne w istocie swej są wszędzie podobne do siebie; różnice, od warunków klimatycznych, narodowych, politycznych zawisłe, dadzą się zawsze wyodrębnić i pozwalają odsłonić jądro wspólne Dlatego też podajemy rezultat tej ankiety, prawie że czyniącej odnośne zbadanie stosunków naszych niepotrzebnem.

Materyałem rozporządzał p. Schneidt licznym i, jak sam uważa, charakterystycznym: z 3,000 rozesłanych arkuszów kwestyonaryusza otrzymał 1,100 odpowiedzi po największej części szczegółowych, pozwalających nietylko uchylić rąbka zasłony, kryjącej całą ohydę brudów społecznych, ale i uderzyć w samo sedno zjawiska. Już sam przegląd masy, z pośród której rekrutuje się zastęp służby żeńskiej restauracyjnej — daje ciekawe rezultaty. Z ogólnej liczby 0,7 należy do biednych warstw masy ludowej; pozostała więcej niż czwarta część pochodziła ze średniej klasy mieszczaństwa i liczyła dwie b. żony oficerów, 4 córki oficerów, 15 nauczycielek, 8 aktorek, 1 rozwiedzioną żonę adwokata, 2 córki bankierów, jedną — pastora i — jedną polską hrabinę. Jako przyczynę upadku wskazywano w znacznej części wypadków — zwykłe w wielkiem mieście uwiedzenie przez „panicza“ i niemożność utrzymywania dziecka z dochodów dawniejszej pracy. Bywały i inne przyczyny, niekiedy zakrawające na całkowity dramat społeczny — ale ten wymieniony motyw nadawał rys charakterystyczny całości. Drugiem z rzędu pytaniem była kwestya zarobku kelnerki. Z tą właśnie odpowiedzią zstępujemy na sam spód mętów społecznych. Można jako prawidło ogólne, niedopuszczające nawet wyjątków, postawić zasadę, że kelnerka nie otrzymuje wynagrodzenia żadnego i że żyje z napiwków gości. Jeżeli obecnie uwzględnimy poziom moralny „gości,“ bywających w restauracyach, to łatwo zrozumiemy, jakiemi drogami zdobywa sobie nieszczęśliwa ofiara wyzysku i siły środki utrzymania. Dla barwności obrazu dodajmy, że istnieją w Berlinie prócz zwykłych t. zw. „Animirkneipen,“ gdzie się „animuje“ przychodzących, zachęcając ich do prędkiego opróżnienia pełnego woreczka. Można sobie wyobrazić — a uważamy siebie za wolnych do opisywania szczegółowego — jakich sposobów używa restaurator i służąca dla zwabienia rozpustnika w sidła kokieteryi i... miłosnego upojenia, gwoli czego istnieją specyalne urządzenia. Z takich źródeł służąca zarabia dużo, niekiedy po kilkaset marek miesięcznie, ucząc się łatwo zarobione pieniądze wyrzucać pełną garścią w otchłań bezeceństw moralnych. Dwie są głównie pompy ssąco-tłoczące, któremi odpływa grosz kelnerki. Jedna — to instytucya „Ludwików,“ zazwyczaj wymaganych przez restauratora od służącej dla celów wabienia gości i łatwiejszego obdzierania ich z grosza, druga — to maklerzy, wyrabiający posady służącym bez miejsca. Jedni i drudzy, sam wreszcie restaurator — to źródło bezgranicznej hańby, opasującej nieszczęsną duszę kobiecą coraz węższym pierścieniem nędzy moralnej, wyciskającym z niej najluźniejsze poczucie uczciwości i rzucającej ją wreszcie w piekielną otchłań przestępstwa karnego. Czy jest sposób ratunku?

Niejednokrotnie już próbowano drogą rozporzadzeń policyjnych ukrócić samowolę restauratorów i stosunkom wewnętrznym knajpy nadać zewnętrzny przynajmniej charakter przyzwoitości względnej. Wszystkie jednak próby nie doprowadziły do żadnych rezultatów. Rzecz jasna, że pozostając w granicach stosunków dzisiejszych, jedna tylko droga prowadzi do zgotowania uczciwszej przyszłości służbie restauracyjnej — droga zmuszenia restauratorów do opłacania służby w sposób, pozwalający na uczciwe opędzenie potrzeb życiowych.

Inne projekty z tym związane nie mają charakteru ogólniejszego i dlatego nie będziemy ich powtarzali za autorem. Ten jednak, jak i cały powyżej przytoczony ustęp ze współczesnej martyrologii, właściwiej zaś mówiąc, roztoczony obraz nędzy moralnej aż nadto jest usilny, ażeby wzruszyć ramionami i przejść nad nim... do knajpy. I on wywołać może ogólniejsze, zawsze smutne refleksye *).

*) Zamieszczamy tę notatkę naszego korespondenta berlińskiego nietylko jako ciekawą samą przez się, ale jako dotykającą pośrednio rany, która i w naszem ciele społecznem jest otwartą. *Red.*

PAMIĘTNIK.

Karnawał jesienny.

Karnawał jesienny — mówiąc językiem warszawskim — zapowiada się dobrze. Szczęśliwie otworzył go „festival.“ Jakkolwiek wy, szanowni obywatele nadwiślańscy, powinniście wiedzieć, co to są *recordy*, *handicapy*, *kondycye* (końskie), *go on* i t. p., być może, o ile nie byliście „Pod gwiazdą,“ nie wiecie, co to jest *festival*. Otóż jest to bigos koncertowo-widowiskowy: jedni na świeżem — raczej otwartem — powietrzu grają, drudzy śpiewają, a posiadacze biletów słuchają, klaszczą, wyciągają fanty z koła, spacerują i — jedzą, co bufet da. Że taka zabawa (urządzona na dochód Instytutu moralnie zaniedbanych dzieci) będzie miała powodzenie, należało zgóry przewidywać. Naprzód bowiem była ona pierwszą po poście letnim, „inaugurowała sezon“ — jak powiada rzetelny warszawianin — powtóre nazywała się „festival“, wyrazem obcym, mało zrozumiałym. Naród warszawski, który posiada sklepy z szyldami: „au bon marché“, „Louvre,“ „manufaktura,“ który strzyże swe włosy lub ubiera się tylko u „Adolphe“, „Josephine“ itp. nie poszedłby przecież na „wieczornicę“ lub coś podobnego. Dzięki „festivalowi“ zebrano przeszło 1½ tysiąca rubli dla moralnie zaniedbanych dzieci.

Pomijając, jako zwykłe miejsca rozrywek, teatry, które ożywiły się również, najważniejszym wypadkiem obecnego karnawału jesiennego były wyścigi cyklistów w Łodzi. Najważniejszym, ale... bardzo smutnym, tak smutnym, że może nie powinienem wyjawić wam całej prawdy. Trudny wszakże... bądźmy szczerzy. Nasi „niezwyciężeni“ bohaterowie, „mistrze jazdy kołowej,“ uginający się pod ciężarem medalów i żetonów, zostali fatalnie pobici przez niemców. Wprawdzie jeden z nich, arcymistrz tutejszego klubu usprawiedliwia swą porażkę tem, że pomylił się w rachubie *tourów* i stanął w chwili, kiedy powinien był jeszcze raz objechać, ale, niestety, pamiętamy, że tego rodzaju wymówki już kilkakrotnie tłomaczyły niepowodzenie „faworytów“ w gonitwach kołowych. To guma pękła, to publiczność się tłoczyła, to wiatr dął zbyt mocno itd. Tym razem obrona jest o tyle trudniejsza, że niemcy (Lehr i Habich) wygrali wszystkie ważniejsze biegi, do których stanęli, oprócz jednego (z nagrodą *Kuryera codziennego*), od którego byli wyłączeni i w którym zwyciężył p. Horodyński. Z tych zapasów tedy wynikł niezbity wniosek, że znakomici cykliści niemieccy przewyższają najsławniejszych. Nie myślę tych ostatnich nielitościwie martwić, owszem pragnąłbym ich pocieszyć. Więc nie dotykając innych argumentów, zwrócę im tylko uwagę, że w miejscu, gdzie ponieśliśmy jedną z największych porażek kulturalnych i gdzie niemcy odnieśli nad nami jedno z największych zwycięztw, w Łodzi, nie powinniśmy mieć pretensyi do pokonywania ich. Było by nawet gorzką ironią historyi, ażeby tam, gdzie oni nas zdeptali swoim przemysłem, myśmy wyprzedzili ich na rowerach. Niech, już tam taki nasz tryumf lepiej nie rozbrzmiewa!

Rozdział nagród.

Kasa pomocy naukowej imienia Mianowskiego rozdzieliła dwie nagrody po 3,000 rs., przyznawane co trzy lata, z zapisu Jakóba Natansona. Jedną z nich otrzymał p. Władysław Natanson *) za pracę: „Wstęp do fizyki teoretycznej“ (1890), a drugą — p. Ludwik Krzywicki za studyum p. t. „Kurpie“ (drukowane w *Bibl. warsz.* 1892). Dziełu p. N. specyaliści oddają wielkie pochwały, co zaś do rozprawy i wogóle nagrodzenia Krzywickiego, to uważamy ten wybór Kasy za wysoce rozumny i zadania jej godny. W obecnem piśmiennictwie naszem nie widzimy człowieka, który by równie szczerze, równie pożytecznie i w równie ciężkich warunkach poświęcał się nauce, który by zatem równie zasługiwał na poparcie, jak Krzywicki. Jego liczne rozprawy, jego studyum o *Kurpiach*, jego ostatnia książka *Ludy*, jego wreszcie artykuły, z którymi czytelnicy nasi oddawna są znajomi, świadczą wymownie o tych nadzwyczajnych i owocnych trudach. Bez przesady przytem rzec można, że Krzywicki wprowadził do umysłowości naszej strumień światła, wydobyty z nowszych badań i odkryć naukowych, którego przedtem w niej nie było. Jak wiadomo, o skromnych środkach przebywa on teraz w Ameryce, skąd przysyła nam listy „z podróży,“ a nie ogląda nowego świata jako turysta lub sprawozdawca wystawowy, lecz pojechał tam na studya i poszukiwania w słynnych instytucyach antropologiczno-etnologicznych, z których niezawodnie przywiezie obfity materyał naukowy. Nagroda zaś Natansonowska umożliwi mu spożytkowanie tego materyału w jakiemś dziele, które zapewne — jak *Ludy* — znowu... nie znajdzie wydawcy i znowu będzie musiało wyjść nakładem autora.

*) Przyznanej mu sumy zrzekł się na korzyść Kasy.

Nowi lichwiarze.

Prawo wydane przeciwko lichwie a jeszcze bardziej jeden (dotąd może jedyny!) wypadek sądowego ukarania lichwiarza w Petersburgu, zwrócił uwagę prasy i opinii na tę dziedzinę stosunków. Obie te stróżki dobrych obyczajów, niezadowolone zbyt skromnym dotychczas wynikiem połowu, zaczęły same wypłaszać szczupaki z rozmaitych kryjówek i wskazywać rybakom sprawiedliwości, gdzie mają zastawiać sieci. I nasz *Kuryer warszawski* odkrył żarłoczne ryby w... lombardach prywatnych. Według niego, wysokie procenty, pobierane przez te instytucye, są jeszcze mniej usprawiedliwione, niż w zwyczajnych pożyczkach u „dobroczyńców ludzkości," gdyż ci ostatni ponoszą ryzyko, którego pierwsze nie znają. „Jakkolwiek rzadko — powiada *Kuryer* — zdarzały się jednak wypadki, że lichwiarze tracili część swego kapitału, umieszczonego w wekslach, więc chociaż mieli pretekst do osłaniania uprawianego wyzysku. W lombardach jednak rzecz się ma zupełnie odmiennie. Tutaj wierzyciel ma pewność prawie bezwzględną, że odbierze swój kapitał i procenty, przez czas bowiem trwania pożyczki staje się posiadaczem zastawu." Zdaniem *Kuryera* wydatki na administracyę, przechowanie fantów itp. koszty mogłyby się zmieścić wybornie w 12%, podczas gdy lombardy pobierają najmniej 18% a nieraz 100%.

Wszystko to jest powiedziane pięknie i słusznie, ale dlaczego dopiero teraz? Dlaczego *Kuryer* dawniej nie dostrzegł w lombardach prywatnych najzwyczajniejszego fanciarstwa lichwiarskiego, które mu stanęło przed oczami dopiero po wydaniu prawa z d. 22 lipca? Dla nas nie była to żadną tajemnicą i nie nasuwało żadnych wątpliwości. Kilkakrotnie nawet zdradzaliśmy powszechnie znany sekret naszego miasta, mianowicie że grono tytułowych arystokratów, pozazdrościwszy zysków Srulom i Janklom, ufundowało (w maskach!) powien lombard prywatny, który dokonywa największych obrotów w Warszawie. Tym paskudnym interesem nikt się nie gorszył a nawet *high life*, który zapewne nie przebaczyłby swym zabłąkanym członkom czytywania *Prawdy*, bardzo pobłażliwie patrzył na ich lombardowe geszefty. Nagle inne pióra, niż nasze, nazwały to lichwą.

SPRAWY EKONOMICZNE

VIII ZJAZD LEŚNY.

Kijów, we wrześniu.

I.

Doniosłe znaczenie w gospodarstwie społecznem posiadają lasy. Przedstawiają one nagromadzone przez wieki bogactwa naturalne, z których użytkując oględnie, można korzystać stale, bez uszczuplania ogólnych zasobów, niszczenie zaś pociąga oprócz braku w następstwie drzewa, jeszcze wiele innych niedogodności. Dzieje ostatnich kilku dziesiątków lat przedstawiają obraz straszliwego rabunku tych bogactw. W sprawie tej odegrała wybitną rolę reforma włościańska. Z jednej strony była ona potężnym bodźcem do rozwoju kapitalizmu, z drugiej zaś postawiła ludność odrazu w nowych warunkach, do których nie była jeszcze przystosowaną. Chłop wyrąbywał w pień nadane lasy, całkiem nieprodukcyjnie dla siebie, gdyż pieniądze wprost przepijał; nie nauczył on się jeszcze cenić tego, tak ważnego środka w dzisiejszej wytwórczości, chciał nareszcie użyć tak długo wzbranianych mu korzyści z posiadania. Przywykły do pracy za darmo, obywatel stał się niezaradnym w nowych warunkach gospodarki pieniężnej i straty pokrywał lasem. Rozwijające się zaś miasta wraz ze swoim przemysłem, otwierając szeroki popyt na drzewo i wywołując zwyżkę jego ceny, pozwoliły na przeprowadzenie szerokiego rabunku przekazanych w spuściznie bogactw. Zdawało się, że ludność ogarnął jakiś szał niszczenia: lasy topniały w oczach. Przebywając okolice, położone nad Dnieprem powyżej Kijowa, widziało się ogromne przestrzenie, paromilowej rozległości, pokryte pieńkami zrąbanych drzew; za ścianą piętrzącego się jeszcze lasu otwierały się znowu wycięte obszary. Jeżeli wędrowiec po kilku latach powtórnie trafił do tych okolic, ujrzał dawno wyręby pokryte krzakami i wykarczowanemi polami, na miejscu zaś lasów — znowu pieńki. Obecnie ilość lasów uszczupliła się ogromnie. Większe ich przestrzenie spotkać można głównie na północo-wschodzie Cesarstwa. Nie dowodzi to wcale braku apetytu u tamtejszych posiadaczów; nie mogą oni strawić swoich bogactw, gdyż do tego potrzeba pewnej przyprawy, odpowiednio wysokiej ceny. Na południo-zachodzie państwa, na ile spotyka się jeszcze lasy, a nie gaiki, przedstawiają one najczęściej własność wielkich posiadaczów lub rządu; średnia i drobna nie zna miłosierdzia dla nich. Uszczuplanie się obszarów leśnych wywołało obawę braku drzewa na przyszłość i wmieszanie się do spraw leśnych rządu. Oprócz tego jednak trzebież pociąga jeszcze inne wielkiej doniosłości następstwa. Las przedstawia opór dla przepływających prądów powietrza. Ogrodnikom znany jest fakt, że podczas przymrozków jesiennych rosnący na grzędzie chwast ochrania czasem od zmrożenia znajdujące się obok rośliny i tamuje swobodny napływ chłodnego powietrza. Tem większe znaczenie posiadają lasy. Obfitujące w nie miejscowości mają klimat łagodniejszy; lasy oddziaływują na zjawiska meteorologiczne. Oprócz tego, dając cień i przeplatając ziemię korzeniami, utrzymują długo wilgoć, nie pozwalają wodzie deszczowej natychmiast spłynąć lub wyparować. Trzebież ogołociła wiele miejscowości piaszczystych, a wywołany tem brak wilgoci spowodował zanik tam wszelkiej innej roślinności. Z takich ogołoconych obszarów wichry porywają tumany piasku i zasypują nim sąsiednie pola. Wody wiosenne, spływając nagle w burzące potoki, ryją grunt, wytwarzają wąwozy. Wiosną rzeki wzbierają i wylewają niepomiernie, latem zaś odczuwa się brak wody. Wysychanie strumieni i zmniejszanie się głębokości rzek — to ogólnie spostrzegane obecnie zjawisko. Zasypywanie pól piaskami i psucie ich przez wytwarzane wąwozy zaznaczyło się tak szeroko, że zwróciło na siebie uwagę rządu. Odczytany na odbytym w Kijowie ósmym wszechruskim zjeździe leśników wielce ciekawy referat p. Kerna, daje dokładny i jaskrawy obraz smutnych następstw wyniszczenia lasów. Weźmy najcharakterystyczniejsze przykłady: w powiecie dnieprzańskim gub. taurydzkiej słynne piaski aleszkowskie zajmują około 200,000 dziesięcin od miasteczka Kachówki wzdłuż lewego brzegu Dniepru przeszło na 150 wiorst do fortecy i przylądka Kinburskiego. Czasem ciągną się one pasem wązkim, miejscami sięgają 35 wiorst szerokości. Wypełniają one kotliny 5—6 sążni głębokie, lub tworzą takiejże wysokości wzgórza. Według opowieści starców, pobrzeże Dniepru w tych miejscach przed laty 50—75 stanowiło nadzwyczaj bogate i piękne obszary, pokryte gęsto roślinnością i wspaniałymi lasami. Przylądek Kinburski, dziś pusty, martwy brzeg morza, był pokryty winnicami i sadami owocowymi (założonymi przez tatarów); między zaś nimi ciągnęły się łąki bujne i obfite. Późniejsza gospodarka przesiedleńców doprowadziła te obszary do zupełnego wyjałowienia. Ogrody owocowe i winnice wyschły, lasy wycięto, roślinność na łąkach zanikła i dziś przy panujących wiatrach południowo-zachodnich piasek swobodnie buja i grozi zasypaniem resztek łąk.

Ale nie trzeba sięgać do zbyt odległej przeszłości, ażeby sobie przedstawić niszczące działanie owych piasków. Zrobiły już one bardzo widoczne postępy od r. 1879. Liczne przed tem drogi, cenne łąki nabrzeżne, grunty orne dziś zupełnie zapłynęły ową lawiną. Nie ocalały nawet ochronne pasma: plantacye leśne, stworzone z wielkim wysiłkiem. Na tych zmartwiałych, smutnych obszarach gdzieniegdzie tylko porastają liche krzaczki wierzby czerwonej, skarłowaciałej topoli, brzozy i wilcze mleko (*euforbia*), dzięki zaniesionym tu przez wiatry nasionom. Ale i tej nędznej roślinności ludność miejscowa nie oszczędza. Wyrywa z korzeniami na opał, wycina na miotły. Od r. 1843 do 1868, tj. w ciągu 25 lat, piaski na owem pobrzeżu Dniepru zasypały 12,000 dziesięcin gruntu kulturalnego, w ciągu zaś jednego tylko roku 1885/6, posunęły się w głąb powiatu miejscami na dwie wiorsty przy czem zniknęło pod tą suchą falą 9000 dziesięcin posiewów zboża. Wogóle piaski najgwałtowniej i najszerzej rozpłynęły się w miejscowościach stepowych. W gub. kijowskiej śród pięknej żyznej gleby ukraińskiej w pobliżu Czehryna lotny piasek ciągnie się pasem szerokości wiorst cztery nad Tasminą na przestrzeni kilku tysięcy dziesięcin. W okolicach kolei Warszawsko-Petersburskiej między Wilnem a Grodnem z okien wagonu można widzieć olbrzymie przestrzenie piaskiem zasypane. Zresztą i Królestwo posiada sporo takich przestrzeni piaszczystych, powstałych po lasach wyniszczonych. Najbardziej zagrożona jest utratą pól urodzajnych i wszelkiej roślinności gub. czernihowska. W miejscowościach nawiedzonych przez takie piaski łatwo poznać, zkąd one pochodzą. W większości wypadków wędrówkę tego nieprzyjaciela wilgoci i życia roślinnego wywołały takie przestrzenie, na których wyniszczono lasy, rosnące niegdyś na lekkim piaszczystym gruncie. Owe właśnie miejsca ogołocone są groźniejsze niż najbardziej gwałtowne wylewy rzek. Woda bowiem wyrządza klęski jednorazowe, zabiera budowle, niszczy posiewy, ale gdy ustąpi, można wznieść nowe budynki i pola zasiać. Lotne piaski, gdy zasypią grunty orne i łąki, mieszkańcom nic nie pozostaje, jak tylko opuścić takie pustynie bezwodne i bezroślinne. To też do jednej z ważnych przyczyn ruchów przesiedleńczych w państwie ruskiem można zaliczyć wędrówki piasków lotnych. Włościanie zrazu probują się borykać z tym wrogiem, ale gdy ten zasypie im pola i sianokosy, otoczy domostwa i na podwórza zajrzy, lud wpada w ogromną nędzę i ucieka.

Obok tej klęski, bezpośrednią przyczyną wyniszczenia lasów są jeszcze wgłębienia, które się potworzyły sposobem naturalnym na przestrzeniach ogołoconych. W gub. wołyńskiej skutkiem wycięcia lasów na pochyłościach utworzyło się i tworzy coraz więcej takich wydołów. Grunt pozbawiony naturalnej spoistości za pomocą korzeni, łatwo uległ wpływom wody deszczowej i śniegowej i dziś poryte znaczne przestrzenie nie mają najmniejszej wartości dla człowieka. Daje się to szczególnie spostrzegać w okolicach Owrucza. Pola orne na przestrzeni około 30 wiorst popsute są przez wyżłobienia, których głębokość nieraz dochodzi do *czterdziestu* sążni. Tworzenie się tam owych rozpadlin spostrzożono przed laty 25—30, tj. po wyniszczeniu lasów na skłonach w stronę rzeki. Odtąd

owe przepaście i wklęsłości mnożą się bezustannie i przynoszą nieobliczone straty mieszkańcom. Włościanie np. wsi Czersiki, którzy w nadziałach dostali po 11 dziesięcin gruntu, dziś skutkiem powyższych uszkodzeń mają zaledwie po 3—4 dziesięciny zdatne do użytku. Mieszkańcy kilku takich wsi starają się przez swych geometrów o zmniejszenie ciężarów podatkowych w stosunku do przestrzeni popsutych przez wgłębienia. Podczas roztopów wiosennych i wielkich deszczów wyżłobienia takie tworzą koryta chwilowych strumieni i płynąca z szalonym pędem woda zrywa mosty i groble, zalewa ogrody, pola i domostwa. „Niewątpliwie — powiada p. Kern — ubóstwo wody (w stepach starobielskich gub. charkowskiej) w pewnym stopniu wynika z wyniszczenia lasów, z silnego rozwoju wgłębień, tudzież ze zmiany właściwości i poziomu rzek. Jeszcze niedawno w dolinach istniały lasy, krynice były częstsze i obfitsze w wodę, na brzegach rzek rosło gęste sitowie, istniały błota, a na nizkich brzegach kotlin przez całe lato woda się trzymała... Warunki, sprzyjające obecnie wsiąkaniu i głębokiemu osiadaniu wód gruntowych, były wówczas bardziej niż dzisiaj pożądane..."

Taki stan rzeczy daje się spostrzegać wszędzie na olbrzymich obszarach państwa; od morza Czarnego do Bałtyku świecą zaspy piaszczyste, czeluście rozpadlin, wyżłobień i to właśnie tam, gdzie nieoględna ręka wyniszczyła lasy na gruntach lekkich, piaszczystych. Lotne piaski nietylko zasypują łąki i pola, nietylko pozbawiają wody dane okolice, ale nadto wraz z wyżłobieniami wpływają na zamulenie łożysk rzecznych, a więc na utrudnienie żeglugi. Podczas bowiem roztopów i wylewów piasek bądź z gruntów spadzistych, bądź za pomocą owych łożysk polnych spływa do rzek w wielkich ilościach i tworzy w nich mielizny. Tu i owdzie przewidujący właściciele zabezpieczyli się za pomocą ogrodzeń i żywopłotów. Nie wszędzie wszakże takie środki pomagają. Lud w wielu miejscach wprost łopatami stara się od pól i ogrodów odsuwać piasek, ale to się równa wylewaniu wody rzeszotem. Jednocześnie z wzrostem fal piaszczystych zniżył się poziom wód gruntowych, susze w stepach i na przestrzeniach bezleśnych są uciążliwe i długotrwałe, brak wody czasami tak wielki, że ludność do rozpaczy dochodzi, sprowadza ją z okolic dalszych, a wreszcie musi opuszczać miejsca rodzinne.

Przeciwko rozwojowi wyżłobień i rozpadlin do ostatniej chwili nie obmyślano prawie żadnych środków, słaba zaś walka z piaskami nie dała najmniejszych rezultatów. „Zatopiły nas zupełnie!" „Dna ich zgruntować nie można!" Tak się włościanie skarżą z rękami założonemi. Lud w gubernii taurydzkiej jeszcze w r. 1886 na zebraniach gminnych postanowił wyjednać zasiłek w postaci sadzonek wierzby czerwonej z plantacyj rządowych. Samo jednak udzielenie tej rośliny bez odpowiednich wskazówek i delegowania specyalistów do tych robót jest tylko zmarnowaniem trudu, czasu i materyału. Były już przykłady takich usiłowań bezowocnych. Czyniono jeszcze pojedyncze próby walki w sposób następujący. Włościanie kilku wsi nad Dnieprem w gub. taurydzkiej postanowili nie ruszyć żadnej roślinności na piaskach. W tym celu ustanowiono straż osobną, podlegającą miejscowemu zarządowi leśnictwa skarbowego. Włościanie zaś dwu wsi w gub. grodzieńskiej, posiadający około 70 dziesięcin ogołoconych piaszczystych gruntów, postanowili starać się u władzy właściwej o przysłanie specyalisty, któryby ich nauczył, w jaki sposób mają szerzenie się piasków i wyżłobień zatrzymać, ze swojej zaś strony obiecują wszystko uczynić, co tylko będzie od nich wymagane dla skutecznego zadrzewienia pustkowi.

Śród obywateli ziemskich panuje zupełna obojętność w sprawie przeciwdziałania szerzeniu się piasków i wądołów. Tych zaś, którzy o to dbają i starają się jakie takie środki przedsiębrać, można na palcach wyliczyć. Tu i owdzie ziemstwa usiłują prowadzić walkę. Np. w charkowskiej instytucyi ziemskiej (gubernialnej) zaprojektowano, ażeby na gruntach włościańskich przestrzenie piaszczyste po ich zadrzewieniu były uwolnione od spłaty, czyli wykupu. Jest to niewątpliwie środek bardzo zachęcający, który przy odpowiednich wskazówkach, udzielanych przez specyalistów, może w przyszłości wydać pożądane rezultaty, o ile rozmiary i siła piasków lotnych nie przekraczają środków materyalnych, niezbędnych do tych robót.

Zen. Piet.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Ceny zboża. Przegląd cen na rynkach wewnętrznych, stale umieszczany w *Wiest. finansów*, dowodzi, że wojna celna nie podziałała dotąd na nie zabójczo. W porównaniu z normalniejszemi latami, kiedy urodzaj w Rosyi był obfity, ceny bieżące nie są wcale niższe, przeciwnie, nawet czasami wyższe, niżeli w latach 1887—1889. Gorzej się trzyma pszenica, ale to przypisują przesileniu srebrnemu w Ameryce. W Petersburgu, Moskwie, Odesie i Warszawie obecnie ceny żyta są prawie takie, jak w okresie 1887—1889, owsa są lepsze, a pszenicy znacznie niższe. *Birż. Wied.* w powyższej sprawie czynią następujące uwagi: „Nikt oczywiście nie może powiedzieć stanowczo, jakie byłyby ceny zboża, gdyby nie istniała wojna celna. Prawdopodobnie tranzakcye byłyby prowadzone żywiej i ceny mogłyby się utrzymać na nieco wyższym poziomie, niżeli obecnie, ale rezultaty dzisiaj otrzymane bynajmniej nie grożą ruiną rolnictwu. Najgorsze są ceny pszenicy, ale tu najmniej mogła zaszkodzić wojna celna, gdyż rynkiem zbytu dla tego produktu nie są głównie Niemcy. To, iż ceny innego zboża nie spadły na razie gwałtownie, wynika stąd, że sprzedający zachowywali się powściągliwe, nie wiedzieli bowiem jeszcze, jaki obrót przyjmie wojna celna. Wreszcie przyszły z pomocą niektóre rozporządzenia ministeryum skarbu w zakresie kredytu i tym sposobem ceny się ustaliły na zupełnie możliwym poziomie."

— Ministeryum dóbr państwa na podstawie projektu departamentu rolnictwa, zwróciło się do ministeryum skarbu z propozycyą zniżenia taryf kolejowych od przewozu nawozów sztucznych, gipsu tłuczonego, soli potasowych, saletry chilijskiej, soli amoniakalnych itd. Jednocześnie departament poruszył sprawę zwrotu cła od pochodzących zewnątrz nawozów sztucznych.

— Przewóz żelaza i stali z Dąbrowy i Sosnowic oraz z Niżnego Nowogrodu do Moskwy kosztuje znacznie taniej niż dostawa tamże tych samych produktów z zakładów południowo-ruskich. Skutkiem tego ostatnie nie mogą współzawodniczyć z sosnowickiemi na rynku moskiewskim. Dla zrównoważenia warunków przemysłu żelaznego południa i zachodu Rosyi proponowane jest odpowiednie zniżenie taryf od żelaza południowego i podwyższenie od produktów z Dąbrowy i Sosnowca. (*Warsz. Dniew.*).

— Od dn. 13 b. m. na giełdzie petersburskiej stosowany jest regulamin, mający na celu usunięcie nieprawnego maklerstwa, za które odpowiedzialni są nie tylko maklerzy pokątni, ale i wszyscy czyniący tranzakcye za ich pośrednictwem.

— Rada państwa wyjaśniła, że na zasadzie istniejących praw, włościanie prowadzący handel z wozów na rynkach, targach, placach itd. nie są obowiązani opłacać podatków miejskich.

— W guberniach południowo-zachndnich z każdym rokiem zwiększa się liczba fabryk, wyrabiających sztuczne hafty. Głównie wytwarzane są one dla wywozu na rynki wschodnie.

— Dnia 13 b. m. otwarto w Wilnie wystawę rolniczą.

— W ubiegłą niedzielę otwarto w Warszawie jarmark chmielarski.

— Z otrzymywanych przez ministeryum komunikacyi codziennych sprawozdań telegraficznych, okazuje się, że ruch towarów zbożowych na kolejach jest obecnie bardzo nieznaczny. Minsteryum spodziewa się większego ożywienia w początkach października.

— Bank handlowy i Towarzystwo wzajemnego kredytu w Warszawie podniosły o pół procentu stopę. Od skupu weksli, pożyczek na papiery publiczne i otwartych kredytów obie instytucye liczą od 6—8½ w stosunku rocznym.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ministeryum skarbu oświadcza się za urządzeniem domów pracy. Postanowiono udzielić poparcia powstajacemu „Towarzystwu domów zarobkowych." Tymczasem uchwalono wznieść je w Kazaniu, Twerze, Kijowie, Warszawie i Wilnie.

— W warszawskich kantorach rekomendacyi pracy wykryto wiele przekroczeń. Bardzo często polecanie sług, odbywa się bez książeczek specyalnych, tylko na mocy pasportów bez zasięgania wiadomości z wydziału kontroli. We wszystkich kantorach dla obejścia przepisów w kontrolach wykazywane są zmyślone numery książeczek służbowych. Skutkiem powyższych nadużyć przedsięwzięto środki zaradcze.

— Warszawskie Towarzystwo głuchoniemych posiada obecnie kapitał w sumie 6,745 rs. 13 k., umieszczony jako fundusz żelazny na hypotekach domów i w kantorze Banku państwa.

— Urzędy starszych zgromadzenia murarzów i cieślów zwróciły się do prezydenta m. Warszawy z przedstawieniem, w którem wykazują częste wypadki z ludźmi przy wznoszeniu budowli. Wykroczenia w przepisach budowlanych głównie pochodzą ztąd, że do robót murarskich i ciesielskich przystępują osoby nie posiadające odpowiednich uzdolnień i świadectw na prawo prowadzenia samodzielnej praktyki. Otóż urzędy proszą o rozporządzenie, zalecające ścisłe przestrzeganie w tym względzie przepisów, nadto: lista majstrów dostatecznie uzdolnionych powinna być przesyłana rządowi gubernialnemu i władzy policyjnej; budowniczowie rządu gubernialnego niech przyjmują deklaracye od takich tylko majstrów, którzy będą wymienieni w wykazach. Wreszcie na zatwierdzonych planach należy wymieniać nazwiska wykonawców robót, władza zaś policyjna powinna czuwać, ażeby nikt inny niemi się nie zajmował. Żądania powyższe będą rozpatrywane na kolegialnem posiedzeniu władzy miejskiej.

Szkoły. Ministeryum komunikacyi otworzyło dla kolei Dąbrowskiej kredyt dodatkowy 450 rs. na wydawanie corocznej zapomogi utrzymującym szkoły prywatne dla dzieci oficyalistów kolejowych na stacyach Bzin i Strzemieszyce.

— W guberniach państwa ruskiego istnieje obecnie 1500 szkół, przy których urządzone są warsztaty rzemieślnicze.

— Z rozpoczęciem b. roku szkolnego w zakładach naukowych finlandzkich wprowadzona będzie konwersacya ruska.

— W Warszawskiej szkole trzyklasowej miejskiej od 13 maja do 13 czerwca i od 13 do 15 grudnia odbywają się egzaminy kandydatów do szkół kolejowych i potrzebujących świadectwa z ukończenia szkół miejskich.

Sprawy kolejowe. Kolej Nadwiślańska przeprowadzi nową bocznicę, łączącą stacyę Dorohusk z brzegiem Bugu. Nad rzeką urządzona będzie przystań bardzo potrzebna dla okolicy.

— Na mocy rozporządzenia ministra komunikacyi, przy departamencie kolei żelaznych wprowadzona będzie systematyczna kontrola eksploatacyi dróg żelaznych, ich zdolności przewozowej. Tworzy się osobny oddział urzędników i rozsyłane są przepisy w sprawie zbierania wiadomości o robotach i rozmiarze ruchu towarowego.

Zdrowie publiczne. Komisya sanitarna zwiedziła słynny targ w Warszawie, t. zw. Pociejów, zawierający masę wszelkich rupieci i starzyzny. Uznano za niezbędne skanalizowanie tej przestrzeni w ciągu roku i usunięcie wszystkich zabudowań drewnianych.

— W okolicach Warszawy powstała znaczna liczba garkuchni ludowych, do których wysłano służbę lekarsko-policyjną dla zbadania jakości potraw.

— Wyższa władza lekarska zwróciła uwagę, iż do pracowni mechanicznych nadsyłane narzędzia chirur-

giczne są często niedostatecznie oczyszczone. Ażeby zapobiedz tą drogą zakażeniom robotników, zalecono oczyszczać i dezinfekować takie narzędzia.

— Jedna z fabryk na Solcu postanowiła zużytkować parę uchodzącą z kotłów dla łaźni robotniczej, w której kąpiele mają być bezpłatne. (*Kuryer warsz.*).

— Towarzystwo ochrony zdrowia w Petersburgu zajęło się badaniem wpływu szkoły na zdrowie uczniów.

Konkurs. Towarzystwo popierania rozwoju przemysłu rękodzielniczego na ogłoszony konkurs z nagrodą 3,000 rs. za najlepszy sposób oczyszczania wód fabrycznych, odpływających z farbiarni i bielcharni, wyznaczyło ostatni termin do 1 lipca 1894 r.

Wypadki. Na kolei Libawsko-Romeńskiej między Mińskiem a Wilnem, skutkiem pęknięcia obręczy na kole wagonu, wykoleił się pociąg towarowy. Z nasypu runęło 14 wagonów, 11 uległo zupełnemu zdruzgotaniu. Konduktorowie i maszyniści potłuczeni, tor zepsuty.

— W Ozorkowie spaliła się przędzalnia Schlössera-wej. Zatrudniała ona około 350 robotników obojej płci i liczyła 11,000 wrzecion. Spalone budynki kosztują 67,000, maszyny wraz z bawełną w fabryce 175,000 rs.

Zmarli. Antonina z Boguckich Piasecka (Poczwarka) w Warszawie. Nowele swoje umieszczała w *Kuryerze warsz.* i *Echu muzycznem*.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A. B. d, C. w Petersburgu. Już wraca, a gdy przyjedzie, zakomunikujemy mu list Pański.

Niepodpisanej. Nie mieszka w Warszawie; adresu szczegółowego nie zostawił.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 10 Сентября 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.